

Józef Ratajczak

Zamki na lodzie 1966 r.

Morze

Jakie jest morze?
Nie widziałem morza.
Czy takie jak łąka,
a może
jak zorza -
kolorowe, wysokie?

Do tej pory łąkę
widziałem tylko,
strumień, obłoki,
motylka.

I burzę
kiedyś widziałem...
Czy morze od niej odróżnię,
gdy grom za gromem
przecina niebo całe?

Słońce

Codziennie inaczej
słońce chodzi po chacie.

Raz od kominia
zaczyna,

raz wokół
wędruje od progu,

a najczęściej po rynnie
w dół wolniuteńko płynie,

by nagle wyskoczyć
zza rogu.

Dziad jeden i trzeci

Był dziad jeden i trzeci,
dwóch ich było na świecie.

Jeden saniami dzwonił,
śniegiem nacierał dłonie,
jeździł tu, ówdzie znikał,
gdzie dudnią końskie kopyta.

Trzeci do żniw przychodził,
konie trzymał na wodzy,
zlewał potem żniwiarzy,
zaglądał im blaskiem w twarze.

A drugi? - Drugi przecież
był raz jednym, raz trzecim.
Przebierał się w białe, zielone
i zmieniał co kwartał konie.

Cygański tabor

O wieczornej rosie
jechał tabor szosą.
Staął tabor nad rzeką,
gdzie do nocy poczeka.

Rzy zmęczony konik,
śpi księżyc podróżny,
Cyganiątku z dłoni
matka gwiazdy wróży.
Pali się ognisko,
trzaska płomień żwawy,
konik schyla nisko
łeb do mokrej trawy.

O rannej rosie
noc w cygańskim wozie:
śpi tabor nad rzeką,
gdzie do zmierzchu poczeka.

Przy ognisku

Wieczorem na ściernisku
rozpalamy ognisko.

W ogniu kartofle się pieką,
gwiazdy wschodzą daleko.

Spadają na niebo, nisko,
ogniskiem przy ognisku.

Czy chłopcy wszędzie wokół
kartofle pieką o zmroku?

I w niebo patrzą z przejęciem,
marząc o innej planecie?

Geografia

Obok pieca jest Afryka,
jeśli dobrze drzwi zamykać.
Murzynek tu w kucki siedzi
przy pracującym obiedzie.
Ryczy lew, gdy włączyć radio,
puszcza baśnie opowiada.
A przy oknie biała zima
Arktykę w okowach trzyma.
Po ulicach nocą czarną
chodzą niedźwiedzie polarne,
z gwiazdą w ręce, z szopką - niczym
rozśpiewani kołędnicy.

Zamki na lodzie

Kiedy mróz na szybach i śniegi w ogrodzie,
budujemy sobie zamki na lodzie.

Jeden zamek dla ciebie na białym jeziorze,
drugi dla mnie na rzece, albo dalej - w morzu.

W każdym długie kruzganki, atłasowe sale,
światła, które jak gwiazdy bez przerwy się palą.

Okna wielkie, a w oknach widok tak szeroki,
że nie można go objąć przez dzień cały okiem.

Zaś pomiędzy zamkami latają gołębie,
mówią, że ty znów u mnie, ja u ciebie będę.

I że w zamkach na lodzie, gdzieś u krańca zimy,
za naszym starym ogrodem jutro zatęsknimy.

Lato malowane

Gdy zadymka
w polu gna,
namaluję
słońce, sad,
owocowe drzewa w kwiatach,
łan zielony pełen światła,
a na tej największej kartce –
biało kwitnące akacje.

Będę lato miał i słońce,
póki farby się nie skończą.

Skrzypki

Wygrałbym na skrzypkach
szum dębu i lipki.

Wszystkie wiatry, wszystkie
szeszeszczące listki.

Rzekę też wygrałbym
lub kumkanie żaby –

gdyby w nich był promyk
zamiast strun ze słomy.

Piosenki mojej mamy

Mama zna dawne piosenki,
dzieci w nich marzą,
mrą konie,
rodzice w krajach dalekich
mieszkają na peronach.

Chodzą w fachsmanach
wyróstki,
oczy wygryza im łza,
mama piosenki zna dawne
i dawne troski
zna.

Nie lubię ich słuchać,
lecz słucham,
bo są jak bajki okrutne
o królach złych, butnych
i dzielnych, biednych pastuchach.

Robinson

Robinsonem zostać
sprawa nieprosta.

Trzeba wyspy bezludnej,
warunków trudnych,
pustego nieba...

Pójdiesz na prawo –
miasto,
na lewo –
miasto,
ruszysz ku gwiazdom
i tam spotkasz ludzi
na pewno.

Ziarenka maku 1966

Obłoki

Płyną w górze
niczym słomkowe kapelusze.
Kościelna je wieża
przymierza.
Nie pasują – za duże.

Zegar ratuszowy
próżno nadstawia głowę.
Dachy domów
wyciągają szyje po kryjomu.
Dwa smukłe klony
daremnie rozwarły korony
i biegną zziąbane na wzgórze.

Lecą tak obłoki
z ręki do ręki
w bardzo wysoki,
czysty błękit.
Płyną samotnie w górze
niczym słomkowe kapelusze.
Potem całą noc płaczą
aż do zorzy,
że nikt ich na głowę
nie włożył.

Burza majowa

Tyle trzasku,
tyle blasku,
burza kręci bicze z piasku.
Błyskawice
z góry miota,
dyszy niby
hipopotam.

Tyle błysku
w górze, nisko
las zapłonął jak ognisko.
Burza zwija
z ognia sznury,
leci z chmury
na pazury.

Aż nagle cisza nastaje,
robi się jasno, miło
i słońce znowu świeci,
jakby bez przerwy świeciło.

Zielony wiersz

Wyjdę do parku
z rana,
założę zielone
ubranie:
spodnie zielone,
marynarkę zieloną,
zielony krawat
poprawię zieloną dłońią.

Zielony nad stawem przystanę,
rozepnę zielone ubranie,
włosy rozczeszę w koronę,
ręce uniosę do góry
jak dwie gałęzie zielone,
by w locie zatrzymać chmury.

Wakacyjne marzenie

Gdy zostanę drukarzem –
marzę –
zacznę czerwoną farbą
drukować kalendarze.

Będzie wtedy wiele
niedziel,
za świętem pogoni święto
i co dzień huczne wesele
pojedzie przez misto karetą.

Prośba do słońka

Wzejdź, słońko! Gdy zapłoniesz,
nabierzemy cię w dłonie,
zanieśmy do domu,
byś w pracy mogło nam pomóc.

Twój blask
bielszy od zimy
w żarówkę oprawimy.

Twój żar
od nieba do ziemi
w piecu kaflowym
zamkniemy.

Pod garnek
i pod abażur
twój płomień
wsuniemy od razu.

Zaświecisznam pod sufitem,
nagrzejesz na w domu całym,
tylko wzejdź już o świcie –
gorące, bliskie i białe!

Ulewa

W rynnie śpiewa
ulewa,
całą noc zawodzi,
z katarynką
na rynku
pod oknami chodzi.

Przypupuje obcasem,
czasem
w szybę zastuka,
gubi rytm i słowa,
aby znów od nowa
rytm i słowa odszukać.

Śpiewa w drzewach
ulewa,
gra od ucha do ucha.
Wszyscy śpią – żołnierz tylko
wyszedł na wartę przed chwilą
i deszczu ciekawie słucha.

Na ziarnie maku

Na ziarnie maku
wszystko jest makowe:
domek z ogródkiem,
poduszka pod głowę...

Można tu nawet
wieść makowe życie,
małe słońce z maku
wywołać o świcie.

Tylko uważać
trzeba na swe kroki,
by nie spaść z ziarna
w makowe obłoki.

Topola

W polu stoi topola,
robił ją zdolny stolarz.

Każdy listek w błękitcie
wystrugał pracowicie.

Każdą gałąź wyciosał
i uniósł pod niebiosa.

Rozlał farby zielone
i poszedł w inną stronę.

Nad stawem

Nad stawem gładkim jak szyba
wrosły dwa smukłe drzewa.
Na jednym słowik śpiewa,
na drugim pluska ryba.

Jedno ku błękitowi
liście unosi co dzień,
drugie ukryte w wodzie
na wędkę można złowić.

Na jednym słowik śpiewa,
na drugim pluska ryba.
Nad stawem gładkim jak szyba
jest jedno czy też są dwa drzewa?

Liść

Usiadł liść na gałązce,
zieleń zaciska w piątce,
otwiera dłonie i z dłoni
lato rozwija zielone.

Usiadł listek na drzewie,
kiedy odlecieć – nie wie.
Piórka żółte nastroszył,
bo jesień podmuchem go płoszy.

Wiatr

Bił w okno od ulicy,
szarpał za okiennice,
chciał zedrzeć dach, o ścianę
ocierał się zziębnięty,
skomlał pod bramą i w drzewie
jak ptak bez tchu zaśpiewał.

Otwarłem okno szeroko,
drzwi otwarłem na oścież
i stanąłem na progu,
aby wiatr wezwać w gości.

– Wejdz, proszę! – zawołałem. –
Oddaję ci dom mój cały.

Wtedy wpadł do mieszkania,
przymierzył wszystkie ubrania,
obleciał pokój wokół,
usiadł na chwilę do stołu,
stłukł lampę jak gwiazda jasną
i nagle runął, i – zasnął.

Jesień

Słońce się kładzie
i cień się kładzie
na każdy owoc
w zielonym sadzie.

Na każdą śliwę
i każdą gruszę
sierpień czerwony
złota naprószył.

Chylą się drzewa
pełne owoców –
dopiero zimą
sobie odpoczną.

Chmury

Zimą, o nowiu
chmury są ciężkie, jakby odlane z ołowiu.

Wiosną topnieją niczym kry na rzece,
kiedy je słońce oświeca.

Latem kwitną jak kwiaty,
płyną białe
na wszystkie strony świata.

Jesienią – żółkną, rudzieją,
wicher w nich chłodny wieje.

A zimą znowu
są szare, ciężkie, jakby odlane z ołowiu.

Mama w zimie

Od rana do późnej nocy
o ciepło się kłopotce.

Pali w piecu,
w ogień dmucha,
czapki szyje nam
z kożucha.

Ciepły kołnierz,
ciepły szalik,
byśmy zimna
nie zaznali.

A nocą, gdy śnimy o sankach,
ceruje dziury w ubranku.

Kropla

Cała noc albo dłużej
spała kropla na chmurze.
Z boku na bok się wierała,
sam nie wiem, o czym śniła.
Potem spadła na obłok,
który przepływał obok,
z obłoku na błękit, z błękitu
na osikę szeleszczącą od świtu.
Z liścia na liść, oczywiście,
aż w końcu spadła na wiśnię.

Teraz na wiśni cicho leży,
jak złota rosa się złoci,
by spaść ci za kołnierzyk,
gdy tylko ją potrącis.

Mój pies

Chciałbym mieć psa,
wilka lub foksteriera.
Każdego dnia
chodziłbym z nim na spacer.

Uczyłbym go służyć, leżeć przy nodze,
czuwać co noc
i bawić się ze mną co dzień.

A on swój łeb
wznosiłby bez przerwy ku mnie,
by każdy gest
i każde słowo zrozumieć.

Łasiłby się,
tuliłby pysk do mej twarzy,
mój piękny pies,
o którym ciągle marzę.

Krasnoludkowe kłopoty

Kiedy krasnoludek nie ma gdzie mieszkać,
robi sobie domek w łupinie orzeszka.

Weseli się i śmieje,
nikogo to ani ziębi, ani grzeje.

Szydzi, krzyczy, obraża –
nikt tego nie zauważa.

Płacze – a wkoło tak miło,
jakby tego płaczu wcale nie było.

Przed snem

Biorę do łóżka auto,
raketę z kosmonautą,
pod głowę kładę misia,
buty kupione dzisiaj...

Lecz zawsze usnę najprędzej,
gdy rękę mamy mam w ręce.

Stary kotek

Mój kotek,
leniwy już i stary,
zamiast łowić myszy
chodzi na wagary.

Kurę przestraszy,
wróbla pogoni,
w kącie za piecem
tezkę uroni.

Potem szepce mi
mój kotek stary:
– proszę ciebie,
czyż
mogę złapać mysz,
jeśli muszę nosić okulary?

Wrona

Mam wronę,
która mieszka na balkonie.
Gdy chleba nakruszę,
do drzwi podchodzi, chociaż śnieg prószy.
Gdy karmnik wystawię,
wygania z niego wróble za balkonu krawędź.

Jednak pod koniec zimy,
w nocy lub wczesnym ranem,
ucieka ode mnie wrona bez słowa pożegnania.

Lalki

Lalki są żywe,
wesołe i nieszczęśliwe.
Lalki mają bardzo smutne miny,
kiedy sypią się z nich trociny.
Lalki kryją główki w poduszki,
opłakują wyłamane nóżki.
Zaniedbane, obdarte i chore
jęczą cucho całe wieczory.

Ale
są też wesołe lale.
Wypoczęte, syte i zdrowe,
wystrojone w sukienki kolorowe,
jeżdżą z dziećmi na spacer do parku,
a na gwiazdkę dostają
moc prześlicznych podarków.

Królewicz

Tron miałem, berło, pałac
– doniczka ziemi została.

Królewna w białym welonie
za obłokami tonie.

Wiatr poddanych rozpędził
niczym piórka łabędzie.

Z orszaku ani znaku
króluję na ziarnie maku.

Cień

Cień
chwalipięta
chodzi cały dzień
po sprzętach.

Szafę w sieni
sobą ocieni,
biały stół
czernią przekreśli wpół,
obok radia
do snu się układa.

Budzi się
cień
i się chwali:
"Od słońca jestem
zgrabniejszy w tali!"

Przeciąga się
cień
i nadyma:
– Gdy zechcę,
to słońce zatrzymam!

Ale gdy światła blask
skieruje kto na niego z lekka –
bierze nogi za pas
i jak zajęc – ucieka!

Pytania

Skąd się bierze cisza?
Kto drzewa kołysze?

Czemu słońko gaśnie
i kończą się baśnie?

I we śnie – dlaczego –
nic nie ma prawdziwego?

Pokój z kukułką 1967

Bajka o bajce

Nie ma dnia
ani nocy,
gdy się bajka rozpocznie.

Śpisz czy nie,
zbudzisz się
lub zaśniesz,
wiesz, że nie ma nic
oprócz baśni.

Rzeczy są
o tyle,
o ile
mają siłę
wejść w czarę krąg.

Nawet słońce
i gwiazdy nie gasną
w takie dni –
tylko dzięki baśniom.

Rozmowa na wiosnę

Rozmawiam z drzewem.
– Po co rośniesz?
– Nie wiem,
spytaj wiosny.

Rozmawiam z wiosną.
– Powiedz, po co?
– A co ty byś począł
ze słońcem i rosą?

– Zamki zbudowałbym
z promieni i kropli,
w górę wzniołbym, aby
w niebo mogły wstąpić.

Wiosna słucha, milczy,
uśmiech kryje lekki
i wypuszcza liście
piękniejsze niż błękit.

Wiosenne porządki

Najpierw trzeba
zamieść niebo.
Potrzebne są do tego
drzewa otrzepane ze śniegu,
jak długie miotły zbierające
chmury z wiosennego słońca.

Potem trzeba pole
od szronu uwolnić,
aby kielki mogły przebić łupiny,
podskoczyć do blasku zwinnie
i dopiero w jesieni
zawstydzić się, zarumieniść.

Łąka na ścianie

Łąka pełna kwiatów
od podłogi do sufitu.
Nic tu nie wschodzi,
lecz i nie przekwita.

Kwiaty łowią słońce
w wyblakłe kielichy,
motyle zastygły w locie
i trzmiele brzęczą cicho.

Chodzę wciąż po tej łące
przed snem i zanim wstanę,
wśród kwiatów nie pachnących,
do lata dorysowanych.

Malarz

Schyla się nad słońcem,
blasku nie ukończył.

Pracuje nad wzgórzem
czarny świerk go urzekł.

Chwyta konia, sowę
w plamy kolorowe.

W końcu, gdy się zmęczy,
skreśli wszystko tęczę.

Gil

Z gilem
żyję zażyłe:
gwizdźmy razem,
chodzimy na spacer,
lubimy żółty kolor,
lasy zielone i pola.

A kiedy choć na chwilę
nie ma przy mnie gila,
otwieram skrzydła składane,
ćwierkam wesoło od rana
i jestem gil, nie człowiek –
cokolwiek kto o tym powie.

Przed nocą

Uprasza się zegar o ciszę,
niech noc gwiazdy pogasi,
a pająk, co nic przedzie ślicznie,
niech stanie wpół drogi
i zaśnie.

Zaleca się muchom na palcach
chodzić, skrzydełkiem nie bzykać,
niech kurz nie tańczy już walca
i w drzewach
niech ścichnie muzyka.

Bo sen boi się gwaru,
nie wyjdzie wtedy ze szpary,
posiedzi w podłodze, płocie,
ścianie
albo przez całe noce
będzie się wiercić na postaniu.

Miasto na drzewie

Myszy w polu bobrują,
bobry w lesie myszkują,
echo – ech tam! – wciąż woła,
pędzą koła dokoła.

A ja sobie stoję w kole
i wybieram dwie topole:
jedną z gniazdem
pod gwiazdą,
drugą z miastem
wśród liści.
Mieszka tam wróbel,
wróblowa,
księżycyś tyś głowa
i królik – ale – mysi.

Słoń i koń

W s ł o Ń c u jest słoń,
a w k o Ń c u koń.

Słoń ze zwierzyńca uciekł,
promienie trąbą tłucze,
w słońcu jak w sklepie z porcelaną
wałęsa się od rana.

Koń stoi smutno na stronie,
zepchnięty na szary koniec:
mkną auta, pędzą do przodu...
Koń może w końcu odejść.

Wiatrak

Stoi wielkolud
na pustym polu.

Ma skrzydła – nie leci,
ma nogę – nie chodzi,
nie rośnie,
choć słońce świeci –
czarny i wielki
jak co dzień.

Czeka, aż prąd się skończy
w przewodach,
aż woda
w rzece przystanie
i w morze się stoczy,
aby mógł skrzydła dźwignąć,
w powietrzu koła zatoczyć
i całą wioskę wypełnić
wesołym terkotaniem.

Księżyc

Księżyc jest dla dzieci,
póki raketą nie można do niego dolecieć.

Snuje z wieczora srebrną przędzę –
most, który do baśni wiedzie.
Potem włosy rozpuszcza,
po wierzchołkach drzew na spacer wyrusza,
zagląda do rzek i okien,
potrąca po drodze obłoki.
Jest owcą na polu,
złotą topolą,
dzwonem, wieżą, koniem w biegu
i rzuconą bardzo daleko kulą śniegu.

Bo księżyc jest dla dzieci,
dopóki pierwsza raketa do niego nie doleci.

Okno

Ciemno.
Meble po kątach drzemią.

Drobne sprzęty
odpływają niczym okręty.

Chwilę przed nocą
jakże tu pusto i mroczno.

Jedynie w oknie
deszcz, drzewo w deszczu moknie,
a w górze
wielki
błękit,
który się nigdy nie znuży.

Ze względu na okno w ścianie
nie wyjdę, w pokoju zostanę.

Ptak w pokoju

Chciał się tu schronić
przed sępą pogonią
lub znaleźć miejsce pewne,
by przeczekać ulewę.

Uderzył w lampę, światło zgaśło,
a chciał w niej uwić gniazdo.
Szukał drzewa, lecz starej szafy
otworzyć nie potrafił.
Zaśpiewał i śpiewu zaniechał,
bo ściany stały nieme, bez echa.

Obleciał więc pokój wielokrotnie
i wypadł na deszcz z powrotem.

Rozmowa ciszy

Mówi do ciszy cisza
tak, aby jej nikt nie usłyszał.

Ptak umilkł,
lecz słów rozróżnić nie umie.

Ucichł owad,
chce podsłuchać ciszy rozmowę.

Jedynie morska muszla
każde słowo ciszy odróżnia.

O czym więc mówi cisza ciszy?
Weź muszlę. Może usłyszysz.

Pożegnanie baśni

Jeśli już zaczniesz
wszystko widzieć wyraźnie,
blask od cienia
odróżnisz –
odejdą baśnie,
by nigdy nie wrócić.

Zwierzęta mówić przestaną,
czary odlecą z przedmiotów,
wieloryb się zmieni w butelkę tranu,
a słońce – w kroplę potu.

Chwile z motylem 1968 r.

Motyl

Pożycz skrzydła od motyla,
ponad łąkę wzleć po chwili.

Siądź na kwiecie, odleć z kwiatu,
łąkę nazwij swoim światem.

Potem skrzydła złóż bez słowa
i oddaj je motylowi.

Ptasi bal

W liściach szumi ulewna ulewa,
ptaki bal wydają na drzewie.

Wiatr prosi do tańca gałęzie,
orkiestra tony najwyższe bierze.

Wiewiórka skrzętnie do dziupli znosi,
co zrzucą ze stołu rozbawieni goście.

Lalka na spacerze

Wyszła lalka na spacer,
nad nią słońce
w błękitnym krawacie,
obok strumień
ze wstążką we włosach,
motyl wpięty
jak broszka w niebiosy.

Patrzy lalka, po kwiat się schyla,
aby przypiąć go do sukienki,
potem wstążkę goni jak motyla,
kiedy wiatr ją unosi w błękit.

Polni muzykanci

Dyle
grają na badyłu,
bas
wyciąga na basetli,
chochlik
chochli zebrał tyle,
że grajkowie do nich siedli.

Grają teraz, rzną od ucha,
znają każdy ton na pamięć,
aż Twardowski w górze słucha,
tupiąc w księżyc obcasami.

Strach na wróble

Wróble mają stracha,
gdy widzą go w starym łąchu,
jak kroczy
wbity w ziemię,
nosząc w kieszeniach kamienie,
a kapelusz zakrywa mu oczy.

Stracha ma nawet strach,
stojący na drugim zagonie,
co trzęsie się w wietrze: – Ach!
Oby mnie ten strach nie dogonił!

Życie bławatka

Bławatek
ma życie niełatwe.

Ile słońca musi się naszukać wiosną,
aby wyrosnąć.

Ile rosy musi wypić, ile nabrać deszczu,
aby zakwitnąć wreszcie.

A jak zakwitnie, jak płatki rozchyli –
już ktoś go zerwie po chwili.

W polu

Leżę w polu niczym pole
od topoli do topoli,
pełen kwiatów, pełen łąki
i wysoki jak obłoki.

Kwiaty w oczach, w kwiatkach błękit,
trawa łasi się do ręki,
pszczoły lecą do mnie czule,
jakbym łąką był lub ulem.

Liście

Liście są dla wiatru instrumentem,
legowiskiem ciepłym są dla kreta,
dla wiewiórek są czerwonym miastem
rozrośniętym
do wymiaru światów...

A dla pszczoły – tylko drogowskazem
do kwiatu.

Leśne wakacje

Na ściany zużyję drzewa,
na dach koronę z gniazdem ptasim.
Ściany zaczną szumieć, sufit śpiewać,
mech pod nogi rozścieli atłasy.

Taki będzie mój dom w środku lasu,
a przy nim blisko
słońce, które od razu
rozpali jak ognisko.

Skowronek

Rano, o rosie –
gwiazdy na niebie rozplaszczają nosy,
mokre twarzyczki chylą,
by dojrzeć w trawie skowronka, co kwili.

Skowronek piórka stroszy,
najpierw jedno, potem drugie oko otworzył,
ziewa, wierci się i przeciąga,
a świt wisi nad gniazdem czerwony jak pożoga.

– Obudź się już, obudź –
szepczą mu giazdy mokre od porannego potu.
– Słońce nam loki topi,
a kto prócz ciebie w niebie nas zastąpi?

O wietrze

Wiatr
w chowanego się bawi
z liśćmi, co kryją się w stawie,
z piaskiem na plaży
się goni
i przesypuje go w dłoniach.
Do ucha
sny szepcze kwiatom
lub niczym zawierucha
gasi o zmierzchu światło.

W chmury

Niebo wysokie
jak lot skowronka,
szerokie jak sięgnąć okiem
i cieplejsze niż łąka.

Kiedy podskoczę do góry
albo na drzewo się wdrapię,
już niczym biała chmura
krążę pod nieba pułapem.

Uczta u słońca

Słońce nawołuje liście,
zieleń prosi
zaraz w gości
i na drzewa czeka przyjście.

Ścieli obrus świeżo prany,
zastawę rozkłada złotą,
stu kucharzy od zarania
zlewa się do siódmych potów.

Liście stroją się na ucztę,
lecą – i padają w locie,
bo kto zdoła je nauczyć,
jak do słońca można dotrzeć?

Baśń o drzewie

Dąb rośnie tak wysoko,
że nie potrafi zmoknąć.

Korzenie tak nisko zapuścił,
że nie obawia się suszy.

Niebo całe zacienia,
ziemię trzyma w korzeniach,

że, jeśli się zwali – ze słońca
wszystkie promienie postrąca.

Topola

Sprzecz się niebo z polem,
do kogo należy topola.

Niebo krzyczy wniebogłoso:
– Moja!
I ciągnie topolę za włosy.

Pole rozległe w dole
też z rąk nie puszcza topoli.

Więc rośnie wysoka topola
pomiędzy niebem i polem.

W ziemi i niebie po połowie,
korzenie dając ziemi,
a liście – błękitowi.

Parasol

Kiedy na dworze
deszcz, burza, grad, śnieg
i gorzej
być nie może,
wyprowadzam parasol na spacer.
Na czarnej smyczy go wiodę,
bo wszak zwyczaj parasola znacie
i jego ciągną skłonność do niepogody.

Wtedy dopiero rozpina aksamitne skrzydła
jak ptak.
Podobny do kawki, bo czarny,
do orła, ze względu na szerokie pióra,
choć można go również pomylić z urzędnikiem,
gdy wraca ze mną z biura.

Kot nauczyciel

Kot mruczy,
a kota mruceń
piec się uczy
jak uczeń.

Kot go poprawia
przez cały tydzień
i dwójkę mu stawia
na kaflu – w zeszytcie.

Piec staje w kącie,
rumieni się ze wstydu,
tymczasem zima się kończy
i już jej ani widu.

Kot ma wakacje
i wróbla obserwuje bacznie,
pogrzebacz wyjechał z Orbisem
na strych, gdzie futra lisie.

Tylko piec przestępuje z nogi na nogę,
kładzie po sobie uszy
i z kąta się nadal nie rusza,
choć ma wolną drogę.

O zmierzchu

Wołają do mnie świetliki:
– Goń nas albo i nie goń,
będziemy się bawić jak zwykle
w chowanego.

A ja gotową mam już odpowiedź:
sieci zarzuć,
zacznę je łowić.

Dzień i noc

Gwiazdy
weszły na kominy,
by zajrzeć do nieba,
słońce
spuszcza się na dół po linie,
choć lina mu niepotrzebna.

Podpatrują teraz wzajemnie:
gwiazdy – niebo,
słońce – ziemię.

Zagubiona rzeka

Nie może
znaleźć morza
rzuciona na bezdroża.

Poszła na prawo –
miasto
betonem ją przerasta.

Na lewo –
tama, skały
z przodu ją zatrzymały.

Więc płynie
po równinie
we wszystkie strony od razu,
bo nikt jej nie może
do morza
drogi właściwej pokazać.

Drożka przez pole

To nie ulica, lecz drożka:
kwiaty spacerują w kapeluszach,
słonecznik parasol rozkłada, choć wcale deszcz nie
pada,
a trawa w zielonym swetrze
włosy czesze na wietrze.

Obok domy nie domy,
wieżowce bardzo znajome,
gdzie liście w oknach nie gasną,
pień w górę jak winda leci
i ptak na najwyższym piętrze
gałązki łamie na gniazdo.

Na wodzie pisane

Dzień każdy co dzień
spisujemy na wodzie.

Wszystkie troski i żale
na wodzie piszemy stale.

Na wodzie łyż, kłopoty,
co było przedtem i potem.

Dom z drzewa

Zbudowałem dom z drzewa,
nie mieszkam w nim jeszcze,
lecz dom całe noce śpiewa,
bo już wprowadziły się świerszcze.

Śladem motyli

Kiedy zamknę oczy
i na polu stanę,
wiodą mnie motyle
słońcem malowane.

Wiodą mnie do rzeki,
nad staw i na łąki
albo w górę wiodą
pod białe obłoki.

A kiedy się zmęczone
i nogi utrudzę,
wypocznę na kwiatku
rosnącym przy strudze.

W samo południe 1969 r.

W samo południe

Motyl skrzydła złożył,
na skale zastygł orzeł,

nie rośnie kwiat ani trawa,
skowronek w niebie zawisł,

nie leci w dół, nie śpiewa,
wiatr stanął w polu jak drzewo.

Marzenia na wiosnę

Jakie dziwne marzenie,
proszę:
po zimie i jesieni –
wiosna.

Liście spadły i znowu
liście,
jakby zieleniały na powrót
po namyśle.

Bo po co właściwie zima,
śnieg zabarwiony na błękitno,
kiedy wszystko można przetrzymać –
kwitnąc.

Aż mróz stanie się niepotrzebny,
szron z kwiatami pomylił
i pod szerokim niebem
będzie miejsce tylko dla motyli.

Mieszkanie

Całe moje mieszkanie –
to ściana biała przy ścianie.

Wszystko tu jest na niby,
zamiast nieba są szyby.

Zamiast drzew – sucha deska,
za morze – farbka niebieska,

Za ptaka – zegar kuka,
zamiast dzięcioła – gość stuka.

Jedynie na stole wazonie
są najprawdziwsze piwonie.

Lście jak listy

Liść z listem można pomylić,
aby spostrzec po chwili:

lecą liście na wszystkie strony,
a każdy – polecony.

Wiatr tu jest listonoszem.
– Odebrać listy proszę!

Co dzisiaj doniósł
liść klonu?

Jakie nowiny
zawiera liść olszyny?
A jakie listek brzozy?
Kto na polski przełoży?

Biorę liście do ręki,
a tam nic więcej nie ma;
tylko nadawca: błękit
i adres wyraźny: ziemia.

Prośba do wiosny

Przyszły do wiosny
sosny,
maki czerwone
przystąpiły do niej,
wszystkie krzewy
proszą ją bez przerwy:

– Pozwól nam, wiosno,
urosnąć,
pamiętaj, nie wolno ci wytchnąć,
póki nam kwiaty nie zakwitną.

Szumią sosny,
powtarzają wierzby:
– Od ciebie, wiosno,
wszystko teraz zależy.

Stary album

Przepisałem do albumu ptaki,
album to był nie byle jaki.

Słońce tutaj na pierwszej karcie
wciąż czekało na szybkie wydarcie.

Róże w górze, na dole fiołki,
kleksy niby groźne obłoki.

A gdy rzekłem znów – fiku-miku,
róże ziędły, blask pod kleksem zniknął.

I tylko kartki nadal cicho drżały,
to były ptaki, które tu wpisałem.

Nauka czytania

Co dym zapisał na niebie?
Co kwiaty piszą wkoło ciebie?

Las sypie liście od świtu,
lecz kto je, jak list, przeczyta?

Tak mało znamy liter,
a w nich przecież wszystko ukryte.

Wszystko z baśni

To wszystko z baśni:
drzewa cienkie
niczym welenki
kolorowe,
daleki błękit,
który z ręki
sny nam wywróży, przyszłość powie.

To wszystko z baśni:
dom na stopce
pragnący uciec
pod obłoki,
komin – czarodziej,
który co dzień
jak fryzjer zwija niebu loki.

To wszystko z baśni:
każdy wieczór,
gdy gwiazdy lecą
w dół, miasto
i kiedy właśnie
wszystko z baśni,
jak drzewo w środku snu wyrasta.

A zatem oczy zmrucz
i zaśnij,
by wszystko mieć ze snu
i baśni.

Motyl

Chciałbym mieć tyle roboty,
co motyl.
Na skrzydłach cały dzień
przeplatać blask i cień.
Nie mieć żadnych wad ani zalet,
jakby nie było mnie wcale.
Tylko jakby ktoś kroplę zorzy
na skraju płatką położył.
Tylko jakby ktoś zdmuchnął rosę
i rzucił pod niebiosą.
Mieć dwie sylaby
"mo" i "tyl" – i tyle,
które ktoś, ot tak, aby – aby,
połączył dla żartu
na chwilę.

Jak powstał las

Kto wybudował drzewo?
Na pewno nie wiatr, lecz murarz,
który chciał w niebie zaśpiewać
korony kwitnącej chmurą.

Wziął kielnię pełną blasku,
aż słońce na chwilę zgasło,
potem w swe mocne dłonie
nabrał farby zielonej
i wznosił do góry jak bukiet
dęby, olszyny i buki.

A gdy już drzewa wokoło
podtrzymywały błękit,
wiosnę z oddali przywołał
i las jej dał do ręki.

Deszcz

Deszcz bez ustanku prószy,
chusteczką go nie osuszysz.

Nie zbierzesz w żadne naczynie,
by za stodołę wynieść.

Ziemia też nie pomieści
takiego dużego deszczu.

Wyleje daleka rzeka,
rozpłynie się we mgłę pole
i niebo zacznie uciekać
na tęczy ogromnym kole.

Przed nocą

Co słowik
mówi nocą
w słowiczej mowie?

Co żaba
w ucho rechoce
księżycowi?

Co wróbel
mówi, ćwierkając
o zmierzchu, w ciszy?

Posłuchaj uważnie
jak zając,
a sam usłyszysz.

Pożegnanie baśni 1972 r.

Do Czytelnika (Pożegnanie baśni)

Jeśli już zaczniesz
wszystko widzieć wyraźnie,
blask od cienia
odróżnisz –
odejdą baśnie,
by nigdy nie powrócić.

Zwierzęta mówić przestaną,
czary odlecą z przedmiotów,
wieloryb się zmieni w butelkę tranu,
a słońce – w kroplę potu.

Nad kotłuską poety

Kiedy już księżyc nie płynie po niebie,
lecz w srebrnej zbroi chodzi –
poeta się rodzi
w tobie, koło ciebie.

Kiedy już łąka nie szumi, lecz z twych objęć
liść się wymyka i naraz przemawia –
poeta się zjawia
koło ciebie, w tobie.

Słońce wtedy jest sterem, wiatr żaglem
i ziemia niczym okręt rusza nagle,
prowadzona przez ciebie, przez poetę
ku portom dalekim – planetom.

Zaklęcia

Klasnę w dłonie – kwiat rozkwitnie,
klasnę znowu – zwiędnie, zginie,
klasnę – będzie świt za świtem
i noc niczym chwilka minie.

Na żądanie przyjdzie jesień
zwarzy trawy, liście, zioła,
albo wiosnę ptak przyniesie,
jeśli ptaka tu przywołam.

Klasnę – koń przybiegnie rączy,
klasnę – stanie między nami
i na zawsze nas rozłączy
tupiąc w niebie podkówkami.

Życzenia

Być ptakiem, co na chmurze gości,
być lasem otwartym na oścież
dla wiatru, słońca i liści,
i być jeszcze tym, co się przyśni.

• • •

Przejdź po łące,
ale tak ostrożnie,
aby tego dostrzec nie można.

Wejść na drzewo,
położyć się w trawie,
ale tak, żeby śladu nie zostawić.

Krzyknąć w las,
lecz echa nie słyszeć,
tylko wielką, ogromną ciszę.

• • •

Gdyby w śnieżynce zamieszkać,
błyszcząc w słońcu jak śnieżynka!

Potem lecieć od chmury
w zamieci śnieżnoburej

i w tańcu szeleścić sukienką
jak pajęczyna cienką...

Babcia na starej fotografii

Jest sama
w grubej ramie.

Błada, z książką w ręce,
której nie czyta więcej.

Nikt nie podchodzi do niej,
nie zapytuje o nic.

Czy jej czego
nie trzeba,
czy jej co nie dolega.
Więc wisi sama na ścianie
jak dawny klejnot lub zegar.

Podchodzę do babci blisko,
jak potrafię.
– Weź mnie na kolana,
na starą fotografię!

Babcia odkłada książkę,
której nie czyta więcej
i na darmo wyciąga
do mnie swoje ręce.

Dziwy

W zlewie ujście rzeki,
piec ogień połyka,
klamka się łąsi do ręki
i światło w kontakcie znika.

Otworzysz szafę – arsenał
pończoch i garniturów,
w maszynie się czai Afryka
i czajnik mi gwizdże do wtóru.

W oknie – największe dziwy:
słońce o każdej porze,
a czasem deszcz, tak prawdziwy
niczym w telewizorze.

Aby nas nie obudzić

Las rośnie cicho,
że nie słycać.

Ziemia się kręci
w sekrecie.

Cisza. Świat się obraca
ostrożnie, z troską, na palcach.

Rozmowa ciszy

Mówi do ciszy cisza
tak, aby jej nikt nie usłyszał.

Ptak umilkł,
lecz słów rozróżnić nie umie.

Ucichł owad,
chce podstuchać ciszy rozmowę.

Jedynie morska muszla
każde słowo ciszy odróżnia.

O czym więc mówi cisza do ciszy?
Weź muszlę. Może usłyszysz.

Jak powstał las

Kto wybudował drzewo?
Na pewno nie wiatr, lecz murarz,
który chciał w niebie zaśpiewać
korony kwitnącej chmurą.

Wziął kielnię pełną blasku,
aż słońce na chwilę zgasło,
potem w swe mocne dłonie
nabrał farby zielonej
i wzniosł do góry jak bukiet
dęby, olszyny i buki.

A gdy już drzewa wokoło
podtrzymywały błękit,
wiosnę z oddali przywołał
i las jej dał do ręki.

Drzewo i las

Pytało drzewo lasu:
– Cemu robisz tyle hałasu?
Wiatr taki słaby,
że rusza liście aby-aby,
deszcz tak niewielki,
że można zliczyć wszystkie kropelki.

Las zaszumiał
i odparł, jak umiał:
– Podmuchał lichy
urósł we mnie, przemienił się w wicher!
Deszcz nieduży
dzięki mnie rozpętał się w burzę!

Drzewo na las spojrzało,
ze strachu – oniemiało.

Kropla

Całą noc albo dłużej
spała kropla na chmurze.
Z boku na bok się wierciła,
sam nie wiem, oczym śniła.
Potem spadła na obłok,
który przepływał obok,
z obłoku na błękit, z błękitu
na brzozę szeleszczącą od świtu.
Z liścia na liść, oczywiście,
aż w końcu spadła na wiśnię.

Teraz na wiśni cicho leży,
jak złota rosa się złoci,
by spaść ci za kołnierzyk,
gdy tylko ją potrącisz.

Zycie bławatka

Bławatek
ma życie niełatwe.

Ile słońca musi się naszukać wiosną,
aby wyrosnąć.

Ile rosy musi wypić, ile nabrać deszczu,
aby zakwitnąć wreszcie.

A jak zakwitnie, jak płatki rozchyli –
już ktoś go zerwie po chwili.

Obłoki

Płyną w górze
niczym słomkowe kapelusze.
Kościelna je wieża
przymierza,
nie pasują – za duże.

Zegar ratuszowy
próżno nadstawia głowę.
Dachy domów
wyciągają szyje po kryjomu.
Dwa smukłe klony
daremnie rozwarły korony
i biegną zziębnięte na wzgórze.

Lecą więc oboki
z ręki do ręki
w bardzo wysoki
i czysty błękit.

Płyną samotnie w górze
niczym słomkowe kapelusze.
Potem całą noc płaczą
aż do zorzy,
że nikt ich na głowę nie włożył.

Liście jak listy

Liść z listem można pomylić,
aby spostrzec po chwili:

lecą liście na wszystkie strony,
a każdy – polecony.

Wiatr tu jest listonoszem.
Odebrać listy proszę!

Co dzisiaj doniosł
liść klonu?

Jakie nowiny
zawiera liść olszyny?

A jakie listek brzozy?
Kto na polski przełoży?

Biorę liście do ręki,
a tam nic więcej nie ma,
tylko nadawca: BŁĘKIT
i adres wyraźny: ZIEMIA.

Rozmowa z drzewem

Rozmawiam z drzewem.
– Po co rośniesz?
– Nje wiem,
spytaj wiosny.

Rozmawiam z wiosną.
– Powiedz, po co?
– A co ty byś począł
ze słońcem i rosą?

– Zamki zbudowałbym
z promieni i kropli,
w górę wzniosłbym, aby
w niebo mogły wstąpić.

Wiosna słucha, milczy,
uśmiech kryje lekki
i wypuszcza liście
piękniejsze niż błękit.

Topola

W polu stoi topola,
robił ją zdolny stolarz.

Każdy listek w błękiecie
wystrugał pracowicie.

Każdą gałąź wyciosał
i uniósł pod niebiosa.

Rozlał farby zielone
i poszedł w inną stronę.

Na przechadzce

Sowik śpiewa nocą wśród jaśminów.
Jak tu słowika pominąć?

Świerszcz na łące wyciąga swe trele.
Jak z nim radości nie dzielić?

Krowa wzdycha, ryczy jak najęta.
Nie, nie mogę przejść obojętnie.

Tak więc mówię, aż w każdym słowie
świerszcz zagości, krowa i słowik.

O kwiatach

Urodziły mnie kwiaty,
już ich nie pamiętam,
odległe lato
uroczyste jak święto.

Lilie dały mi oczy,
włosy – kaczeńce,
sto stokrotek musiałem połączyć,
aby mieć ręce.

Powstałem z łąki
wyrwany, bez korzeni.
Może więc ktoś mnie bez zwłoki
na powrót w kwiat zamieni?

Ballada o liściu

Jestem jak listek
skryty w gęstwie liści.
Kto się mnie w ogóle
domyśli?

Ani duży,
ani widoczny –
niechaj drzewo beze mnie
odpocznie.

Czy to dla mnie trzeba
tyle nieba,
tyle słońca, wody, ziemi tyle,
skoro jestem tylko na chwilę?

Drzewo liścia nie posłuchało,
parło w ziemię, w niebie ogromniało,
chciało wszechświat zagarnąć wszystek,
by mógł szeptać w koronie listek:

Jestem słaby,
skryty w gęstwie liści,
kto się mnie w ogóle
domyśli?

Baśń o drzewie

Dąb rośnie tak wysoko,
że nie potrafi zmoknąć.

Korzenie tak nisko zapuścił,
że nie obawia się suszy.

Niebo całe zacienia,
ziemię trzyma w korzeniach,

że, jeśli się zwali, ze słońca
wszystkie promienie postrąca.

Dęby

Wieczorem po parku chodzę,
nad stawem szemrzą liście,
dęby szumią jak co dzień
wysoko i uroczyście.

Szumią w niebie jak morze
strzeliste korony dębowe.
Kiedyś ten szum wam przełożę
na ludzką zwyczajną mowę.

O wróbelku

Jest go tak niewiele,
prawie nic – piórka same,
drży jak sopelek
i znika, jak w bibule atrament.

O szyby dziobkiem stuka,
dzwonek byłby głośniejszy,
lecz gdyby go kto kiedy ukradł,
jak bardzo świat by się zmniejszył!

O gilu

Z gilem
żyję zażyłe:
gwiżdżemy razem,
chodzimy na spacer,
lubimy żółty kolor,
lasy zielone i pola.

A kiedy choć na chwilę
nie ma przy mnie gila,
otwieram skrzydła składane,
ćwierkam wesoło od rana
i jestem gil, nie człowiek –
cokolwiek kto o tym powie.

O słowiku

Słowik usiadł na drzewie,
pewnie drzewo wyśpiewa,
od korzenia po gałąź
w śpiewie zamknie je całe.

Poleci drzewo po lesie,
echo je w dal poniesie,
potem wróci, przestanie,
gdy ścichnie słowikowanie.

Miasto na drzewie

Myszy w polu bobrują,
bobry w lesie myszkują,
echo – ech tam! – wciąż woa,
pędzą koła dokoła.

A ja sobie stoję w kole
i wybieram dwie topole:
jedną z gniazdem
pod gwiazdą,
drugą z miastem
wśród liści.
Mieszka tam wróbel,
wróblowa,
księżycy tysa głowa
i królik – ale – mysli!

Parasol

Kiedy na dworze
deszcz, burza, grad, śnieg

i gorzej
być nie może,

wyprowadzam parasol na spacer.
Na czarnej smyczy go wiodę,
bo wszak zwyczaję parasola znacie
i jego ciągną skłonność do niepogody.

Wtedy dopiero rozpina aksamitne skrzydła
jak ptak.
Podobny do kawki, bo czarny,
do orła, ze względu na szerokie pióra,
choć można go również pomylić z urzędnikiem,
gdy wraca ze mną z biura.

Ptasi bal

W liściach szumi ulewa,
ptaki bal wydają na drzewie.

Wiewiórka skrzętnie do dziupli znosi,
co zrzucą ze stołu rozbawieni goście.

Wiatr prosi do tańca gałęzie,
orkiestra tony najwyższe bierze.

Burza

Gdy jedną kroplę powtórzę
nieskończoną ilość razy,
zanie sie na burzę
od razu.

Chmury napłyną,
grom trzaśnie,

bo kropel milion
uzbieram właśnie.

A kiedy burza
już się wyburzy,

znów każdą kroplę
w locie odróżnię.

Z jednej powstanie szyba,
druga przypomni łzę,

do trzeciej kropli powiem: Wybacz!
I rozmażę ją palcem na szkle.

Królewicz

Tron miałem, berło, pałac
– doniczka ziemi została.

Królewna w białym welonie
za obłokami tonie.

Wiatr poddanych rozpędził
niczym piórka łabędzie.

Z orszaku ani znaku,
kroluję na ziarnie maku.

O motyłu

Chciałbym mieć tyle do roboty,
co motyl.

Na skrzydłach cały dzień
przeplatać blask i cień.

Nie mieć żadnych wad ani zalet,
jakby nie było mnie wcale.

Tylko jakby ktoś kroplę zorzy
na skraju płatka położył.

Tylko jakby ktoś zdmuchnął rosę
i rzucił pod niebiosą.

Mieć dwie sylaby
"mo" i "tyl" i tyle,
które ktoś ot tak, aby-aby
połączył dla żartu na chwilę.

O krasnoludkowych kłopotach

Kiedy krasnoludek nie ma gdzie mieszkać,
robi sobie domek w łupinie orzeszka.

Weseli się i śmieje,
nikogo to ani ziębi, ani grzeje.

Szydzi, krzyczy, obraża,
nikt tego nie zauważa.

Płacze - a wokoło tak miło,
jakby tego płaczu wcale nie było.

Na ziarnie maku

Na ziarnie maku
wszystko jest makowe:
domek z ogródkiem,
poduszka pod głowę.

Można tu nawet
wieść makowe życie,
małe słońce z maku
wywołać o świcie.

Tylko uważać
trzeba na swe kroki,
by nie spaść z ziarna
w makowe obłoki.

Przed snem

Gdy patrzę na obłok, mam w oczach obłoki,
gdy na las – i las znajdziesz w moim wzroku,
ptaka w mych oczach ujrzysz, gdy tylko ptak leci,
i dom wysoki, jeśli dom wznoszą właśnie naprzeciw.
Ale gdy oczy zamknę, gdy głowę do snu złożę,
w źrenicach to się zjawi, czego już ujrzyć nie możesz.

Okno

Ciemno.
Meble po kątach drzemią.

Drobne sprzęty
odpływają niczym okręty.

Chwilę przed nocą
jakże tu pusto i mroczno.

Jedynie w oknie
deszcz, drzewo w deszczu moknie,
a w górze
wielki
błękit,
który się nigdy nie znuży.

Ze względu na okno w ścianie
nie wyjdę, w pokoju zostanę.

Po obudzeniu

Szafa wyzbyła się skrzydeł,
do kąta znowu idzie,
balkon w porcie ponownie osiadł,
w jesień zmieniła się wiosna.
Ściany przestały w niebo się otwierać,
łóżko, odarte z masztu i steru,
traci rozpęd jak drzewo liście
i osiada wreszcie na mieliźnie.

Podłuchane w szafie

Kiedy spodnie usłyszały swoją nazwę, obraziły się nie na żarty.

– Przecież my nie jesteśmy żadne spodnie, tylko wierzchnie! – wykrzyknęły.

– A czy ja się płaszczę przed kimkolwiek? – obruszył się z kolei płaszcz.

– A co my mamy wspólnego z robieniem kantów? – powiedziały czym prędzej kanty.

– Podobnie jak my z marynarką handlową – dodała marynarka.

Wszystkie nazwy poddane bliższemu badaniu okazały się po chwili nie do rzeczy. Bielizna nie była biała i narzekała na brak bieli, koszula wcale nie leżała w koszu, a szl nie szeptał bynajmniej "cicho sza!" Jedynie guzik zadowolony był z przydzielonego sobie wyrazu.

– Guzik! Guzik z wszystkich waszych pretensji! – orzekł krótko guzik. I zaczął cierpliwie czekać na nitce, aż człowiek pogłaszcze go za to po ulizanej na okrągło główce.

Podłuchane w parku

– Najbardziej ze wszystkich gier i zabaw lubię zabawę w drzewo - powiedziało drzewo i nastroszyło liście.

– A jak to zabawa? – zapytał z ciekawością staw i zaprosił do siebie drzewo na wodę z niebieskim sokiem.

– To jest tak – wyjaśniło drzewo. – Wkładam zieloną marynarkę, zielone spodnie, zielony kapelusz, koszulę zieloną i krawat, rozkładam ręce pomalowane na zielono i udaję drzewo. A przez cały czas stoję na jednej nodze.

– To świetna zabawa – zaśmiał się staw. – I co dalej?

– Dalej to jest tak – wyjaśniło drzewo. – Podchodzi do mnie koza i zjada krawat. Ale udaję drzewo i milczę. Nadlatuje wiatr i zdiera ze mnie marynarkę. Ale nie mówię ani słowa, żeby się nie zdradzić. Wtedy nadchodzi burza i zmywa z moich rąk resztę zielonej farby. I ja znowu nic. Chociaż przestaję już być drzewem i jadę do tartaku po deski.

– Wobec tego i ja się pobawię w staw – podsumował staw i zaczął zadzierać nosa z wody. I nawet nie spostrzegł, jak zerwano tamę i spuszczone go do ostatniej kropli. Staw był bowiem stawem tylko ze względu na ryby, a drzewo drzewem ze względu na deski.

Mieszkanie

Całe moje mieszkanie
to ściana biała przy ścianie.

Wszystko tu jest na niby,
zamiast nieba są szyby.

Zamiast drzew – sucha deska,
za morze – farbka niebieska.

Za ptaka – zegar kuka,
zamiast dzięcioła – gość stuka.

Jedynie na stole, w wazonie
są najprawdziwsze piwonie.

Podłuchane w bajkach Andersena

Gdybym miał czarodziejskie krzesiwo, jak Andersen, tego jestem pewien, pojąłbym zaraz za żonę z baśni jakąś królową.

I pies by mi wiernie służył o ślepiach jak młyńskie koła.

Och, jeśli tylko zechcecie, to i psa tu przywołam.

A ja usiądę na krześle z królową swą, jak na tronie i w sen jak w baśń opuszczę oczy czytaniem znużone. Wtedy w tulipanie zamieszkać jak Calineczka,

z ołowianym żołnierzkiem odbędę dalekie podróże, na wyspie nieznannej popłynę do morskiego kraju, gdy wyspę mi bajka wywróży.

Ale najchętniej i najdłużej pozostanę pośród ptaków i drzew,

wśród kwiatów, które pod moim oknem wyrosną i już od lata zaczną tęsknić, aż liście przebiją znów śnieg,

by zazielenić się wiosną.

Bajki

W bajkach jest wszystko możliwe,
a jakże.
A w życiu?
Nawet drzewa mogą mówić jak żywe.
A już bajek, które zna słowik,
nie zanucę wam, nie opowiem.

Dzięcioł stuka w korę.
O czym? Nie wiem do tej pory.
Kornik w drzewie coś wydrukował.
Dziwna wszakże jest kornika mowa.
Gdybym umiał to kiedy przeczytać,
tłumaczyłbym na polski. I kwita.
Lecz nie słyszę, co mówią korniki,
o czym dzięcioł stuka cały dzień
i nie wstydzę się przyznać przed nikim:
jestem na to głuchy jak pień.

Toteż w moich bajkach nie ma dzielnej,
niezwalczonej, pchły
bo poległa na wojnie,
jeśli zdarzy się lew, to taki, co stracił już kły
i w klatce siedzi spokojnie.

Nawet żaba nie wychodzi tutaj za księcia
ani piłka za równie szybką jaskółkę,
tylko książka ma głos, i to właśnie nie do pojęcia,
że go traci – odłożona na półkę.

Łąka na ścianie

Łąka pełna kwiatów
od podłogi do sufitu.
Nic tu nie wschodzi,
lecz i nie przekwita.

Kwiaty łowią słońce
w wyblakłe kielichy,
motyle zastygły w locie
i trzmiele brzęczą cicho.

Chodzę wciąż po tej łące
przed snem i zanim wstanę,
wśród kwiatów niepachnących,
do lata dorysowanych.

Pierwsze wiersze 1983 r.

Pierwszy wierszyk

Pierwszy
wierszyk –
wjechał na stronę,
waży dwa gramy,
a jakby miał tonę.

Ciężki, że coś,
pot z niego spływa,
nie ptak, nie kwiat –
lokomotywa.

Ti, ti! – już pociąg
nabiera rozpędu,
trąbi jak auto
i nie ma w tym błędu.

Tu, tu!
Nic go nie wstrzyma!
Stuka wesoło
na kilku rymach.

Szuka swej stacji,
wciąż mąci ciszę,
ciekaw, co dalej
teraz napiszę.

A ja nic
dodać się nie odważę...
Jadę w dal
w swoim wierszu –
pierwszy pasażer.

Rym

Tak **rym**:

Cym.

Cym to słowo do **rymu**,
które brzmi teraz: **Cymu**.

I z każdym nowym **rymem**

Cym, Cymu – staje się **Cymem**.

Rym sam się z Cymem rymuje,
bo Cyma wciąż potrzebuje.

– Cymuś!

Cym odszedł i nie ma już
rymu.

Nawet **Cym**

wybrał **Rzym**,
choć gdzie **Rzym**,
a gdzie **Cym**.

Coś jednak ich łączy
od początku do końca.

Co?

Oczywiście –
rym.

Stąd **serce**

jest zawsze w **rozterce**,
dal

rodzi w sercu **żał**,
na **łacie**

są kwiaty **pachnące**,
a

każdy najmniejszy **kwiat** –
obejmie jak nic
cały **świat**.

Słowa ze słownika

Uciekły słowa

ze słownika.

Wszędzie je teraz

spotykam.

Słowo "krzesło" stoi przy stole. Ma cztery nogi.

Słowo "pociąg" wjechało na stację. Gotowe do drogi.

Słowo "kwiat" znowu kwitnie i więdnie na nowo.

Do słowa "niebo" leci "ptak" – inne, skrzydlate
słowo.

Wracają zmęczone słowa

do słownika.

Układam je ciasno na stronie

i książkę do snu zamykam.

Słowo "krzesło" kuleje ciężko. Złamało jedną nogę.

Słowo "pociąg" zgubiło szyny i pomyliło drogę.

Słowo "kwiat" przemarzło na wietrze i kicha na
zdrowie.

Słowo "ptak" wróciło do Afryki. Wypocznie, to
wszystko opowie.

Leżą więc cicho

w bardzo grubym tomie

słowa dawne, dziwne, znane bardzo dobrze
i nieznanome.

Mają skrzydła, nogi, płatki, korony
albo koła

i ruszają ze swoich miejsc na wszystkie strony,
gdy tylko je ktoś zawoła.

Taki sobie wierszyk

D ł u g i dłużej w łożku leży,

gruby

grubszym głosem włada,

w **wieży** szybciej się **uwierzy**,

że **gad** to jest ten,

co **gada**.

Więc gdy pismo czujesz nosem,

nie sądz, że "lis" w "list" się dostał,

że "proś" znaczy "bądź jak **prosię**".

Lepiej **staw** przy grobli **zostaw**.

Leci ptak.

Gdyby się spieszył,

może raczej szedłby pieszo.

Spadły liście,

przyjdzie wiosna –

znów na drzewach je powieszą.

Zabawa w chowanego

Las
pod łóżko wlaź,
lasuje tam
cały czas.

Trawa
wiąże znów krawat
i włazi do zwierciadła,
skąd wczoraj właśnie
wypadła.

Kwiat
siedzi cicho
w wazonie,
udaje, że swędzą go dłonie –
i dlatego wypuszcza liście,
choć wygląda jeszcze
zieloniściej;
jak chmura,
co schnie –
na balkonie.

A mleko,
gdy się rozlało,
w czarnym się kocie
schowało.
Miauczy teraz: Miau!
I kotem już jest
w istocie.

Miauczący kotek

Kotek **miał**
to, co chciał.
Miał miseczkę pełną mleka,
lecz na drugą porcję czekał.
Myszkę **miał** i wróbla **miał**,
lecz on ciągle czegoś chciał.
Miał!

Gdybym kłębek wełny **miał**,
zaraz bym go kotku dał.
Dałbym wstążkę do zabawy,
niechby rozlał kubek kawy,
który na stoliku stał;
niechby czarne łapki **miał**,
choć jest cały
bardzo biały.
Miał!

Kotek usnął, a gdy spał,
śnił, że wiele rzeczy **miał**.
Miał ogromną rzekę mleka,
myszkę **miał**, na którą czekał,
wróbla w garści **miał** od dzisiaj,
bo mu sam na łapkach przysiadł...

Kotek sobie smacznie drzemał.
Zbudził się. Niczego nie ma.
A tak bardzo przecież chciał,
żeby mieć znów to, co **miał**,
Miał!

Wiosna

Pole ma tyle widoków
na wiosnę!
Niebo ma tyle obłoków,
że chyba z nich
nie wyrośnie!

Wszystkie okna zaświecą
na słońce.
Tramwaje na przystanki polecą
rozsypane po łące.

Autobus przystanie
nad rzeką,
żeby wziąć prysznic.
Liści

wzędzie pod powieką
i kwiat
w swoim wnętrzu
wyśni.

Niedziela

Niedziela jest po to,
by iść na spacer
na ężyc
i
s
k

Do księżycyca jest bardzo blisko
z najwyższej w mieście
wieży.

Ale żeby nie było
na księżycu nudno,
trzeba wymyślić tam miasta
i jakąś ludność.

Może trochę trawy
dla zabawy.

Może rzekę
i morze,
aby się wykąpać
nienajgorzej.

Psa, za którym rusza się
w pościg,
też trzeba wymyślić –
dla pewności.

A rodzice?
Zostaną na ziemi, macie rację,
aby było dokąd w

r
ó
cic
na kolację.

Drzewo, morze i ptak

W lesie
jest tylko jedno drzewo,
ale jak głośno
szumi!

W morzu
jest tylko kropla wody,
ale tona w niej wciąż
okręty.

W niebie
śpiewa tylko jeden ptak,
jednak słychać go
na całej ziemi.

Bo jedno drzewo
staje się niekiedy lasem.
Jedna kropla
roзраsta się w oceany.
A jeden ptak
podaje nam w locie skrzydła
i całe niebo
otwiera.

Kot na płocie

Na ziemi
płot,
na płocie
kot.

Na kocie
jeży się
sierść,
bo chce się
jak wróbel
wznieść,
by każdy rzekł:
Jaki śliczny,
ten kot,
tam w górze –
na drucie
telegraficznym.

A tu
ziemia
i płot.
Próżny pot –
myśli kot.

Ćwir,
ćwir –
wciąż w brzuchu
słyszysz,
łeb schyla
i miauczy
na myszy.

A kysz!
Niech kryje się
mysz!
Gdy siedzę na płocie,
myszy nie lubię!
Poznajcie myśli
kocie:
zamiast z myszą
do nory iść,
wołę z wróblem
ulecieć wzwyż!

O tym wie każdy wróbel.

Wiatr za oknem

Wiatr zastukał do okna.
– Otwórz!
Na deszczu moknę.

Głosem płaczącym
się żali:
– Zgubiłem czapkę
i szalik.
– Ręce ogrzeję przy piecu
i zaraz na dwór
wylecę.

Spojrzałem na wiatr
za oknem.
Drży z zimna. Na deszczu
moknie.

Nosek rozpląszczył
na szybie.
Do mnie, do pieca chce przybiec.

Okno otwarłem na oścież,
by wiatr
zaprosić w gości.

Wiatr włożył czapkę
i szalik,
sprawdził, czy w piecu się pali,
po izbie ze świstem
lata,
mój ciepły płaszczyk
zakłada...

A ja naraz dłonie
zacieram.
Och, jak tu zimno jest teraz.

I wołam,
choć drży mi głosik:
– Kto mnie z kolei rozgrzeje
i do pieca zaprosi?

Osiołek na drodze

Szedł osiołek
ścieżką krętą
do miasta
na wielkie święto.

Mówiono mu:
– Idźże prosto,
nie unikaj dróg
i mostów!

Musisz szybko iść
do celu,
by się cieszyć i weselić.

Lecz osiołek
z drogi zoczył,
piął się wciąż
po stromym zboczcu.

Śmiał się, śpiewał:
– W tym przyjemność,
że święto jest wciąż
przede mną.

Bo gdy w sercu
kwitną róże,
droga wcale
się nie dłuży.

Wreszcie jest w miasteczku osioł.
Z wesołą się żegna drogą.
Chcę powitać wszystkich głośno,
a tu nie ma już nikogo.

Orkiestra przestała grać,
ludzie poszli spać,
nie tańczy nikt na tarasie,
nie ma lodów,
ani kielbasek.

W rynnie jest wszystko
płynne,
popatrz na rynny
inne,
a z tobą jest coraz
gorzej...

Rynna krztusi się,
płacze,
lecz deszczu przełknąć
nie może.
Nie umie pracować inaczej.

A dzieciak gwizdże na to,
lubi, gdy jest deszczowato,
nie utonie, bo duży,

brodzi zatem w kałuży,
fódkę ciągnie za sznurek
i w skafandrze,
w kapturze
wygląda jak pletwonurek.

Poglądy też ma inne:
z deszczu wejdzie
pod rynnę
i nic go za bardzo
nie wzruszy.
Wie, że co dzisiaj zmoknie,
jutro się w słońcu wysuszy.

Jesień

Popsuły się drzewa,
spadła im korona,
jesień w nich dojrzewa –
żółta i czerwona.

Krzewy okulały,
grzęzną w pustym polu,
słońca im za mało,
iść do wiosny woła.

Kroczą przez polanę
od grudnia po marzec,
mróz im kryje rany
śniegowym bandażem.

Co tam

Co tam zima! Byle kwiat ją przetrzyma!
Co tam mróz! Kwiat zakwitnie i już.
Lody się zmieniają na lody
śmietankowe – dla ochłody.
Śnieg się ze śniegu wyśnieży
i długo nie poleży.

**Zawieję wietrzyk wywieje,
zadymkę dym osuszy,
rzeka stanie dęba obok dębów
i do morza z kopyta ruszy.**

A ja do mrozu powiem:
– Rysuj sobie kwiaty na szybie!
Kwiaty ci wyjdą na zdrowie.
Na wiosnę wyjdą niechybnie.

Kołysanka

Śpi zegar,
już nie chodzi,
nie bije,
choć mu nic
nie dolega.

Śpi stół,
stanął na stałe,
lampa z góry
cień rzuca
w dół.

Śpią szyby
w oknie,
gałąź śpi, na którą
księżyc spóźniony
przybył.

Śpi kot, pies i kanarek
tylko lalka
nie potrzebuje snu,
leży w pudle i patrzy
ciekawie przez szparę.

Jak ciemno!
– szepce.
Siedzą Murzyni
wokoło i milczą
zamiast rozmawiać
ze mną.

Czarowna noc

Wszystko zapowiadało,
że będzie szaro,
a jest biało.

Śnieg
z nieba zbiegł.

Na ziemi leży
i wciąż się śnieży.

Może odtąd na stałe
wszystko będzie białe?

Szare kamienice,
szare ulice,
szary zmierzch
i szare szczyty
wież.

Biegnę wśród ogrodowych ścieżek.
Kwitnie tu biały podśnieżek,
śniegowiec pospolity i górską śnieżynka,
a w głębi,
gdzie wiatr wieje i ziębi –
matka tuli batwankowego synka.

Jeśli tak dużo się stało,
że czarne rozbielało
przez jedną noc –
to co
teraz będzie,
co,
gdy w nocy przed nami sto
i śniegiem okna
zawiało?

Zaspany wiersz

Usnąłem
i śniłem, że nie śnię.
Na sen było jeszcze
za wcześnie.

Przedem leżało morze.
Spało, nie spało, a może
sen tylko udawało –
i śniło mi się we śnie.

Nad morzem leciał orzeł.
Myślałem: Jak ręce rozłożę,
też w górze nad morzem polecę
w piżamie lub w spodniach i swetrze.
I będzie to lot jak się patrzy.
Nie skończy się w łóżku. Inaczej:
sny się na jawę przedłużą,
wszystko się stanie podróżą,
polecą morza, skały
i sny, które za mnie spały.

Wtedy stanę na brzegu
i wszystko zatrzymam w biegu.
Zbudzę się, ale na próżno.
Na sen będzie za wcześnie,
a na zbudzenie –
za późno.

Polskie orły

Dzieci spały,
nie wiedziały nawet,
że spały,
a żołnierzom z czapek
wszystkie orły, orzełki
uleciały.

Takie orły,
które lecą wysoko,
zaglądają do oczu
obłokom.

Duże orły
i małe orzełki
znowu biły skrzydłami
nad naszym krajem
niewielkim.

Obudziły się dzieci.
Patrzą. Słońce świeci.
Idą żołnierze,
nie boją się słońca,
a nad nimi orły, orzełki,
cała ojczyzna fruująca,
którą kochają tak szczerze.

Do rycerza z bajki

Rycerzu z bajki,
po coś się zjawiał?
Już mi nie trzeba
twych przygód
ani sławy.

Twej zbroi mi nie trzeba
ani pióropusza,
na żadną bitwę
z domu nie wyruszę.

A gdy się w wojnę
bawić zechcę znowu,
wezmę dzielnego
żołnierza z ołowiu.

Będzie wspaniały,
odważny i wierny,
jakby w nim było
aż czterech pancernych.

Samochody Grzegorza

Wujek Edward syrenkę
ma i ciocię Bogusię.
Większą ma z tym udrękę,
niż jadąc autobusem.

A Grzegorz ma dwanaście samochodów, nawet trzynaście i pół,
gdyby doliczyć jedno podwozie i jedną parę kół.
Ale kłopotu nie ma żadnego, bo dlaczego miałby kłopot mieć!
Ma wszystko, czego zapragnie, wystarczy tylko chcieć!
Ma być fiat? Jest fiat. Już pędzi, prawdziwy pogromca szos.
Sto, tysięcy na godzinę. Przemierza miasto na wskos.
Ma skrzydła składane. I leci. Teraz do morza wpadł.
Nadjeżdża jednak mercedes. I Grzegorz znów rusza w świat.

A wujek Edward syrenkę
spocony na chodnik wypycha.
Cicia go trzyma za rękę
i szepce coś bardzo cicho.

A Grzegorz pod swoją poduszką ma wielki, prawdziwy garaż.
Trzynaście i pół samochodu może wyjechać stąd zaraz.
Ford, wartburg, warszawa, volkswagen i jakaś najnowsza Škoda.
Ryczą, wyją motory, że zatrzymywać ich szkoda.

To nic, że koło odpadnie, że silnik już zdarty do cna.
Wystarczy gwóźdź, plastelina lub zwykła taśma klejąca.
Śpi Grzegorz z głową na autach, sny ma spokojne i śliczne,
a wujek Edward po nocy wygląda co rusz na ulicę.

Raz to zbiegł na dół nawet
głośno, jak z pogotowia!
A ciocia płakała prawie:
Sprzedaj lub się wyprowadź!

Grzegorz budzi się rankiem ze smacznej wróciwszy podróży
i daje wujkowi Edwardowi najlepszy samochód, nieduży,
można nim jeździć po mieście bądź latać jak aeroplanem,
nosić w kieszeni, mieć w domu, bo wszystko ma składane.
Wujek go bierze do ręki, patrzy, co zyska, co straci.
Potem mówi do cioci. To będzie nasz samochód.
Mały, maleńki fiacik.

Wierszyk ze zwierzakami

Piszę słowo "pies". I wystarczy.
Już jest. Warczy.

Gdybym napisał o nim całe zdanie,
wtedy byłoby potworne szczekanie!
Dlatego wolę gęsi. Niech gęgają.
Krowy. Niech sobie ryczą.
A najlepiej, gdyby przebiegł tędy zając.
Bo co robią zające?
Milczą.

Ale gdybym w końcu się odważył
napisać takie słowo, jak koń,
byłoby mi z pędem do twarzy
i dudniłaby pode mną błon.

Poderwałbym konia do biegu
i już nie byłoby wokół mnie niczego.

Nawet ziemia ze wszystkich dróg
uciekałaby szybko spod nóg.

Toteż widząc, że kończą się błonie
dopisuję do konia – koniec.

Przygoda z kotem

Narysowałem na karteczce kota.
Kot przetaił ślepka.– Kto tam?
A, prawda, to ty!
Proszę, narysuj mysz!

Pojawiła się myszka bardzo wystraszona
na widok kociego ogona,
kocich wąsów i kocich źrenic.
Piszczycie strasznie. Mam ją schować
lub w złego tygrysa zmienić.

Rysuję tygrysa bez słowa.

Taki tygrys
od razu chce coś wygryźć
i nie umie się lenić.

Wrr! Chrrr! Drży kot.
Muszę postawić płot
pomiędzy nim i tygrysem.
Do tego jeszcze dwa misie,
które nie znają głodu,
bo mają dwie beczki miodu.

Kot miauczy
i chowa się w trawie –
lwią grzywę mu teraz przyprawię,
lwie kły i lwie pazury.

Kot patrzy na mnie z góry.
Nie kot nagle, lecz lew.
Wtem poczuł ludzką krew.
Ryczy. Biega po stronie.
Ślepiami za mną goni.
Chce skoczyć. Jeszcze się waha.
Już nie mam kota ani lwa,
lecz po prostu mam stracha.
I gumkę biorę raz dwa.

Po chwili kartka cała
pod gumką od nowa zbiełała.
Nie ma lwa. Nie ma tygrysa.
Kota też nie ma nawet.
Jest tylko dziurka mysia.
I mysz, którą zostawię.

W słońcu

Raz jeszcze słońce nadchodzi
i jakby się zjawił czarodziej.

Od razu kwiaty próbują śpiewać.
Ptaki rozkwitają na drzewach.

Wrony przestają chodzić na piechotę,
choć zimą mają na to ochotę.

Bocian rower pożyczyci od sąsiada
i na kółku z klekotem zasiada.

Syrenki stalową zbroję kładą,
by płynąć nie Wisłą, lecz Wisłostradą.

Hokus-pokus, potem fiki-miki,
już ze słońca rosną słoneczniki.

Nawet dachy wszystkich w mieście domów
okrywają się zielenią pokryjому.

Trawa leży na cegle, jak na półce.
Pod okapem wynajęto pokój jaskółce.

A w kominie, gdzie już nikt nie pali,
świerszcz wraz z żoną właśnie zamieszkali.

Siadłem w oknie. Słońce schodzi nisko.
Mam je w ręce. I mocno, najmocniej ściskam.

Mama sprząta mieszkanie

Mama ma teraz dziesięć rąk
i wszystkie są nagle zajęte.
Odstawia szafy, ściera kurz,
rozmawia z każdym sprzętem.

Wyciąga stare rzeczy, które trzeba odświeżyć,
pierze brudy, bo kąpiel już im się należy,
zmywa naczynia, tarmosząc garnki za uszy,
prasuje i pod suszarką głowy nam mokre suszy.

Mama ma teraz dziesięć rąk
i wszystkie są bardzo zmęczone.
Muszę im dodać trochę sił
i wziąć je w swoje dłonie.

Potem wyciągnę zabawki, które trzeba naprawić,
zrobię porządek w szufladzie, zanim zacznę się bawić
i wreszcie tego wierszyka wyuczę się na pamięć
i powiem go na dobranoc mej uśmiechniętej mamie.

Wycieczka do zoo Wydawnictwo Poznańskie 1982

Wycieczka do zoo

Co krok
żelazne pręty.
Myślę więc: Nie do wiary!
Czyżby tu właśnie zwierzęta
odsiadywały karę?

Za co?
Przez ile lat
mają tak patrzeć
zza krat?

Lis ukradł futro lisie,
no cóż,
ale co ma włożyć dzisiaj,
gdy na dworze mróz?

Wielbłąd garbi się, lecz przecież
z garbu się tu nie wyleczy!

Słoń potłukł porcelanę
w sklepie,
wilk też się prowadził
nie najlepiej.

Tchórz
stchórzył,
jeź się najeżył,
ale kto im powie lub wywróży,
jak postępować
należy?

Nagle żyrafa
kłania się, jak do fotografii
i szepce mi do ucha:
Posłuchaj!

Jeśli znikną kraty, siatki, pręty,
rozbiegną się na wszystkie strony świata
zebrane tu zwierzęta.

Lis do lasu,
wielbłąd na pustynię,
słoń od razu
w puszczy na zawsze zginie,
tchórz stchórzy,
padnie padalec,
jaszczurki od ziemi nie odróżnisz,
a może nie znajdziesz
jej wcale.

Otwieramy zwierzyńiec

Lew
chroni się nagle wśród drzew,
zamiast być groźny
i zły
schodzi całkiem na psy.

Tygrys
pysk sobie przygryźł
i łeb pochyliwszy nisko
udaje wielkie kocisko.

Słoń
szybko odwraca głowę,
by schować kły
słoniowe.

Żyrafa
kurczy się, choć nie potrafi.

Nawet wilka
przyłóż do rany
takie ma ślepie
baranie.

Szepcą zwierzęta
w swej dziwnej mowie:
Uwaga!
Nie drażnić!
Nie zbliżać się!
Nadchodzi człowiek!

Mowa zwierząt

Ptak śpiewa drzewom na ucho...
Co śpiewa? Nie wiem. Jestem głuchy.

Dzięcioł przez cały dzień
rozmawia gorliwie z pnem.

O czym? Powiedzieć nie umiem.
Nic z tego nie rozumiem.

Lew ryczy, mruczy miś, huczy sowa...
Do kogo, pytam, ta mowa?

I martwię się ogromnie.
Bo chyba mówią do mnie?

Dziwią się i bardzo się boją,
że choć widzę i słyszę –
nie mogę jakoś ich pojąć.

Co warto wiedzieć, gdy o wilku mowa

Wzrost... dużego psa.
Sierść... szara.
Nogi... silne, gotowe do biegu.
Musisz się dobrze postarać,
by go odróżnić od tła
lasu, a nawet śniegu.

Wzrok... prawie potulny.
Ogon... podwinięty nisko.
Węch... wspaniale wyostrzony.
Żadnych znaków szczególnych.
Pomyślisz: Zwyczajne psisko,
niegroźne i oswojone.

Bo spodziewałeś się widocznych z daleka kłów,
ognia w pysku, sierści natartej siarką,
a jednak szkoda słów,
by wilka wywołać z lasu. Nie próbuj. Naprawdę nie warto.

Zabawa z lwem

Gdzie się ukrył lew?
Pomóście mi go znaleźć!
Na lewo jest zlew, na prawo telew-
izor... I może widzę źle,
lecz lwa tu nie ma wcale.

Więc gdzie się lew ukrywa,
w jakim słowie się skrył!?
Gdzie są pazury? Gdzie grzywa?
I lew – gdzie szczyrzy kły?

Może wlaźł do cholewy,
w lewkonie, do chlewu, w plewy,
lub tak się przestraszył ulewy,
że sterczy wciąż pod okapem...
Kto się na tym połapie?

I kto się go znaleźć odważy
nie raz, lecz osiem razy?

Lew w telewizorze

Pewnego wieczoru
wszedł LEW
do teLEWizora.

Wszedł przez pomyłkę,
od tyłu,
bo puszcza mu się przysniła.

Zobaczył ludzi ciekawych,
siedzących spokojnie
przy kawie.

Dzieci, które bez trwogi,
chciały go ciągnąć
za ogon.

Więc nagle ni stąd, ni zowąd,
bardzo się zdener-
wował.

Ryknął jak sto głośników,
aż obraz zaczął
znikać.

Rozdarł ekran pazurem,
skoczył w bok,
wzniósł się w górę.

W końcu
za napis się schował:
PROSIMY NIE REGULOWAĆ.

A dzieciom się nudziło,
bo lwa nie było
i nie było.

Usnęły nawet bez słowa.
Nie śmiały przecież lwa
regulować.

Lew w Środmięściu

Lew stanął na dwóch łapach,
rozczesał brodę, futro pod szyją zapiął,
otworzył klatkę i rażno
ruszył przez ZOO na miasto.

Stróż go nie ścigał,
portier nie zatrzymał,
jedynie w tramwaju
jakiś zajęc
wciąż wiercił się jak fryga.

Szeptano wokół: Atleta!
Co za futro kosztowne! Jakie rękawiczki!
Lew wszedł ze wstydu do sklepu, niestety,
był to, jaki pech, sklep rzeźnicki.

Zaryczał więc, kły odsłonił,
zjadł wszystkie szynki, kiełbasy, balerony,
salceson, mięso wołowe
i ... wezwał pogotowie.

Przyjechały karetki
(lew zjadł jeszcze dwie metki)
syreny jęczały na alarm,
wskoczyli pielęgniarze
i wzięli lwa od razu.
Nie, nie do ZOO.
Prosto do szpitala.

Tygrys

Wymyśliłem taki rym do słowa tygrys:
wygryźć.
Ale co tygrys
wygryźć?
Może wygrzyźć podłogę?
Nie, tego napisać nie mogę.
Może przegryźć
kratę,
zęby spisując na stratę?
Nie, to początek zły.
Tygrys,
żeby coś wygrzyźć,
musi mieć nadal kły.

Trzeba więc zacząć, na próbę, inaczej:
tygrys
jeszcze nic nie wygrzyźć,
tylko leży sobie i patrzy.
Na ludzi za kratami,
których zna na pamięć,
na lwa-sąsiada,
co tygrysim językiem nie włada.

Patrzy sobie tygrys i myśli:
Kogo by tu lub co by tu wygrzyźć?
Podłoga z dębu.
Nawet tygrys nie ma takich zębów!
Kraty z żelaza.
Kto się je skruszyć odważy?

Najlepiej zatem
za kratą
leżeć spokojnie, patrzeć
i czekać – aż dadzą kolację.

Wąż

Śpiący wciąż,
groźny, święty
skręca się wolno wąż –
dookoła siebie
ciasno
owinięty.

Potężny,
jak wielka opona
od nieznanego wozu,
czuwa
u własnego ogona,
lecz chwyta dreszcz,
gdy staniesz blisko,
choć wcale nie ma mrozu.

Bo nagle,
kiedy się zbudzi,
gotów połknąć wszystko:
klatkę, świat, ludzi.
Po co? To warto wiedzieć:
by znowu spać –
po tak wyśmienitym obiedzie.

Jeż

Jeż.
Co to w ogóle za zwierzę?
Poduszczeńka do igieł?
Owszem.
A może model piłki
najnowszy?

Leży
w kącie
i nic – tylko się jeży.
Chcesz go pogłaskać – kole,
nakarmić – kole,
bo kolców ma co łaska,
do woli.

Unika jednak fryzjera,
nikomu swych trosk nie zwierzy,
gdyż chce być jeżem, a jeż
musi się przecież rad nierad
bez przerwy
jeżyć.

Żmija, żyrafa i mucha

Żmija,
wiadomo,
zwija się i rozwija
poziomo.

Z prawej do lewej
i z lewej do prawej,
niech sprawdzi,
kto ciekawy.

Ale co innego,
mówię to z oczywistą przesadą,
ż
y
r
a
f
a,
którą pisać trzeba z góry na dół.

Ż – to oczywiście głowa,
ciało - to reszta słowa,
bo żyrafa
w odróżnieniu od żmii –
to sprawa absolutnie pionowa.

W pionie ma całe ciało
i żyje ciągle w pionie,
stąd jej początek pod chmurą,
za to na ziemi - koniec.

A na przecięciu
p
i
o
n
u
i p o z i o m u
mucha brzęczy
i naprzykrza się lada komu.

Kłopoty żyrafy

Żyrafa
pragnie ZOO opuścić –
nie potrafi.

Stróż usnął,
otwarta brama,
na wieży północ wybija –
lecz jak tu wyjść na ulicę,
gdy ciągle przeszkadza szyja.

Koźnierzyk,
jak koźnierzyk,
całkiem dobrze leży.

Spodnie
(dwie pary)
jak na iareę
wygodne.

Kapelusz uszy zakrył,
buty zakryły kopyta,
tylko co zrobić z szyją,
bo szyja nadal odkryta...

Nic nie pomoże
podnieść koźnierza,
skurczyć się, wciągnąć głowę,
każdy odkryje bowiem,
że taką szyję,
gdy na ulicy się trafi,
ma właśnie żyrafa ubrana jak człowiek
albo człowiek przebrany za żyrafę.

Słoń i słońce

Słoń
wszedł na słońce
i wleciał jak trzeba
do nieba.

Najpierw
trąbiło
słońce
bez końca,
ogonkiem cienkim merdało,
dwa jeziora wypilo,
na stojąco
spało.

Potem
mokre od potu
nie jak słońce,
lecz
wręcz
jak słoń –
pobiegłodo zwierzyńca z powrotem
przez pustą błoń.

Przyszły dzieci,
dziwiły się, że słoń,
choć tyle słońca ma w sobie –
nie świeci.

Skrzydlate wieloryby

Płyną niebem
na niby i nie na niby
przepiękne wieloryby.

Mają białe skrzydła.
Dziwicie się, że białe?
Takie właśnie
widziałem.

Ruchliwe ogony, płetwy i przeogromne paszcze.
Paszczami zachwyciłem się zwłaszcza.

Więc oczy przetarłem ze zdumienia.
I proszę. Wieloryb w owcę się zmienia.
Najpierw jeden wieloryb, inne potem.
Wiszą teraz nad lasem. Nad ogrodem.

Wiatr im rozwiewa loki,
słońce jak pastuch skrajem łąki kroczy
i giną w stadzie owiec wielorybie obłoki,
a wielki ocean nieba zatapia śpiące oczy.

Lisi alfabet

LIS wciąż chodzi koło drogi,
chodzą pod nim lisie nogi.
Najpierw dwie, a potem cztery –
równe, proste jak litery.

L – to noga, co się skrada,
I – gdy w biegu ponad ziemią,
S – to ogon bardzo ładny...
I już w LISie liter nie ma.

Bo LIS w trzech literach mieszka
i roznosi je po ścieżkach.
Tutaj L, tam I postawi,
S napuszy dla zabawy.

A gdy i
zamieszka w a,
LIS
ucieknie zaraz
w LAS.

Lis z komisju

Oto lisie widzimi się:
Udał lis skórę lisa
i znalazł się w komisie.

Napuszył włos,
a jakże,
ogon napuszył także,
cenę przypiął do boku
i położył się obok skarpet, piór, swetrów i
szlafroków.

Ale spróbuj go kupić
i zarzucić sobie na szyję!
Ugniesz się jak głupi,
bo lis jest ciężki
i wygląda na to, że żyje.

Leży jednak na ladzie,
więc każdy go chwali i gładzi.
A lis myśli: Gdy wrócę do lasu,
rozgłoszę wszystkim lisom od razu,
że choć kłopotów mamy za życia niemało
za to przyszłość nas czeka wspianiała.

Zwierzęce układanki

Na klockach mam
cały alfabet,
ułożę z nich psa
i żabę.

Na lwa starczą trzy litery,
na wilka potrzebne są cztery.
Hipopotam zje aż dziewięć liter od razu,
zanim się na piasku pokaże.

A kiedy pies zaszczeka
i zacznie szczyrzyć kły,
literki dwie z niego wyjmę
i pies mój zaraz ps!

Z kota wypuszczę kosa,
nosorożca pozbawię nosa,
wąż usłyszy ode mnie: Ani się waż,
gdy ja przy literach objąłem straż!

Tylko żaba, ż-a-b-a, zwykła żaba,
skacze obok na dwóch sylabach:
Ża! Ba! Ba! Ża!
I jak tu się na nią obrażać!?

Pod słuchane w różnych klatkach

Niedźwiedź się żali:
Za ciepłe futro mi dali!

Żyrafa narzeka na długą szyję.
Z krótką lepiej się żyje.

Wilk też jest zły
na kły.
Jeść tu każdemu dają,
czy z ciebie ryś,
czy zając.

Bać się nie ma czego, kolego –
stwierdza tchórz
i tchórzem przestaje być
już.

Na obroży śpi miś,
jak wypchany,
w klatce leży lis
farbowany,
nawet tygrys
nic tu nigdy nie wygrzył,
razem z lwem stracił w klatce od razu
znany przedtem lwi pazur.

Tylko małpa,
której mistrzem jest człowiek,
jak człowiek sobie myśli:
No proszę! I kto mi powie,
po co ludzie tu przyszli?

Klatka z ptakami

Ile tu zamknięto
przepięknych instrumentów!

Orkiestra z nich
niemała
ugina niebo jak gałąź
i gra – bez dyrygenta.

Kolibier

Brzęczy –
maleńki jak odprysk tęczy.
Trwa jak sekunda, jak chwila
i lśni niczym łza
lub brylant.

Stworzono go na długo
przed powstaniem światów
z płatka
nie istniejącego jeszcze

kwiatu.

Sowa

Sowa
siedzi w swej klatce
małej jak kartka papieru.
Stań obok cicho
na palcach,
ani się nie rusz.
Bo jak się sowa napuszy,
jak zerwie się
do lotu,
nie znajdziesz takiego arkusza,
na który ją chwycisz
z powrotem.

Orzeł

W tej klatce,
Kto by zgadł,
wysoko na gałęzi
przysiadł związany
wiatr.

Wicher o skrzydłach podciętych,
cyklon z wysokich gór.

Kto nie poznał go wcześniej,
nie usłyszy już szumu
zerwanych do lotu
piór.

Pytania bez odpowiedzi

Czy mysz
jest w mysikróliku?
Mam takich putań
bez liku,
lecz kto z was na tym
zna się?
Co okoń ma do konia?
A pasikonik,
czy wciąż konika pasie?

Więc ciągnie mnie w las
natura
i znów piszę palcem po szybie:
Czy w kuropatwie jest kura,
a wiele ryb
w wielorybie?

Złota rybka

Błaszka
oderwana od słońca.
Nie wypływa,
nie tonie,
wisi w przejrzystej wodzie
na przejrzystym
welonie.

Wielbłąd w urzędzie

W wielbłądzie nie brak błędów.
Czasem jest to jeden wielki błąd, czasem dwa.
Poszedł więc wielbłąd ze skargą do urzędu,
który się na tym zna.

Chodzi o garb? –
rzekł urzędnik.
Cóż, takie były plany.
Jest pan po prostu
pierwszorządnie
wygarbowany.

A nadto – cicho dodał,
kryjąc się za urzędowy druczek –
po to pan tak wygląda,
by człowiek na cudzych błędach się uczył,
proszę wielbłąda.

Wielbłąd - artysta

Raz zrzucił wielbłąd toboły,
poszedł do szkoły.
– Nie będę nosił ciężarów –
powiedział. – Z lenistwa.
I po latach paru
został z niego artysta.

Otworzył pracownię w lesie,
malował przez lato i jesień –
osły,
tygrysy,
konie;
wiewiórki – na papierze,
na wielkich płótnach – słonie.

Patrzyły zwierzęta na obrazy
i uciekały od razu,
bo mówiąc między nami,
wszystkie spod pędzla
wielbłąda
wychodziły z dwoma garbami.

Wielbłąd na pustyni

Skąd
ten dziwny ląd
na grzbiecie, szczyt góry,
który
dźwignięty na nogi
przemierza pustynne drogi?

A w samym środku góry,
gdy wielbłąd odegnie szyję,
usłyszy
nawet głuchy jak pień:
Tu serce
i źródło bije!
Wystarczy podejść do grzbietu
w zbawienny, chłodny cień.

Hipopotam się waży!

Hipopotam zebrał się na odwagę
i wszedł na wagę.
Ale cóż z tego, że był odważny
i że nie pękła pod nim waga,
skoro trzeba było sprowadzać specjalny odważnik
i nikt go nie chciał przyjąć na багаż.

Samochód
musiałby mieć chyba
z dwadzieścia cztery koła,
wagon takie podwozie,
jakiego nie ma zgoła.
Samolot?
W ogóle nie wchodził w grę.
Stał więc hipopotam na wadze
i ronił hipopotamową tzę.

W końcu
postanowił przeprowadzić kurację odchudzającą.

Z wody nie wychodził zatem
zimą ani latem,
gimnastykował się przy radio,
rezygnował z obiadu,
przestrzegał ścisłej diety...
mimo to, a może właśnie dlatego,
tył jeszcze bardziej niż przedtem.

A nauka stąd taka,
wszak w bajce o nią chodzi,
że to, co jednym nie pomaga,
innym też jakoś wcale nie szkodzi.

Uparty osioł

Uparty,
a może lubi żarty.
Otwieram drzwi:
Możesz sobie iść!
Na to się nie godzę –
rzekł.
I leżał
na podłodze.
Zamknąłem drzwi.
Łbem wali,
aż dom w posadach drży,
bo on właśnie dom
chce rozwalić.
Daję więc siano
do żłobu.
To dla mnie –
dziwi się –
czy dla nas obu?
Oddaję mu zatem
chleb własny!
– Za tłusty,
za śliski,
za kwaśny.
Pokaż, co w garnku chowasz?
I wzdycha. Zupa grochowa!
Aż śliska na nią leci.
Wylewam zupę.
Do zlewu.
Już nie chce zupy.
Zupka to coś dla dzieci.

Więc rób, co chcesz,
mówię na to,
jedz słomę choćby przez lato,
leż
albo stój przy żłobie!

– A ja właśnie
nic nie zrobię.

I milknie.
Czeka, aż się obrażę
i znów coś mu zrobić
każę.

Porachunki z niedźwiedziem

Kiedy zimą przy piecu siedzę
muszę się policzyć z niedźwiedziem.

Styczeń!
Do trzydziestu dni sen mu wyliczę.

Luty!
Dwadzieścia osiem. Bo luty lubi skróty.

Marzec...
Ile teraz dni dopisać każesz?

A kwiecień?
Czy już wiecie,
ile to będzie razem?
Proszę, możecie sprawdzić z kalendarzem.
Sto osiemdziesiąt dni!
A niedźwiedź co nato?
Przecież wkoło już wiosna
i zaraz nadejdzie lato!
Niedźwiedź się na tym nie poznał.
Nadal śpi.

I na złość rachubom ludzi
gotów się wcale nie zbudzić.

Kołysanka dla zwierząt

Śpij, zajączku,
pod miedzą,
przyjdą myśliwi,
strzelby wyciągną –
i pasztet smaczny
zjedzą.

Śpij, lisku,
w ciemnej norze;
nadejdzie piękna pani,
nawet cię słówkiem nie zrani
i lisie futerko włoży.

Śpij, misiu,
po co się budzić,
gdy kołysankę ci nucą;
jest głodno i zimno,
a tak – przyjdą ludzie
i różnych cię sztuczek
wyuczą.

Śpij, mały nietoperzu,
nikt cię nie dojrzy wśród skał;
sen zapadł w krainie zwierząt
i ty będziesz zaraz spał.

A kiedy słonko
wróci z ciepłych krajów,
obudzi lisa,
nietoperza,
misia;
zza miedzy znowu wyskoczy zając,
gdzie tylko na chwilę
przysiadł.

Nasza IV b w zoo

Sławek
kangura prosi,
by wyjął wszystko z torby,
którą na brzuchu
nosi.

Mariusz
o zakład idzie,
że kiwnie tylko marchewką
i słoń
będzie z nim mieszkał
przez tydzień.

Grzegorz
zrozumieć nie może,
jak nos
wyciera chusteczką

zakatarzony nosorożec.

Dorotka chodzi z łopatką
i kopie jak najęta.
– Ojej! – mówi. – To jasne!
Chcę wreszcie zobaczyć
kreta.

A Benio
przyniósł dwa kije,
by podeprzeć żyrafie
trzymetrową szyję.

Patrzy
i mówi zdziwiony
do kolegów:
– O rany!
Ona się obywa świetnie
bez tego!

Maleńkie zoo

Oto maleńki zwierzynek:
w nim żadne zwierzątko
nie zginie.

Pająki tu chodzą z siatką
po owady.
Są wielkie i silne,
że mucha z wrażenia
siada.

Kwiat ugina się w pałąk,
jak gałąź –
pod motylem.
Wróbel gra rolę orła,
jaszczurka jest
krokodylem.

Mysia norka
udaje
jaskinię lwa.
Nie sprawi nikomu zawodu.
A osa,
żebyś wiedział,
ma
coś z prawdziwego niedźwiedzia:
tak samo się garnie
do miodu.

Tylko maleńki świerszcz
trze skrzydełkami
jak muzyk
i chowa się skromnie za kamień.
W maleńkim ZOO
na łące –

on wcale nie chce być duży.

Obiad z gadem

Chciałem gadać
z gadem
w sprawie obiadu,
ale na nic
wszelkie gadu-gadu,
bo jadłospis gada
jest jednaki:
ryby, żaby, traszki
i robaki.
Trudna rada!

Siadam do stołu
z jaszczurką,
kucharz już pieczeń smaży,
wtem ona wybiega na podwórko
i zmienia się raptownie na twarzą.
Potem ze wstydem jąka,
że jeśli chcę ją czymś uraczyć,
mam zamówić owada lub pająka.
Na widelcu. Bez niepotrzebnych naczyń.

Zaskroniec
podrapał się w niewidoczne skronie
na widok kotletów i zrazów,
wywinął się z rąk na koniec
i pod stół padł
od razu.
Co jest? – spytałem cichutko,
cedząc za słowem słowo,
a on:
– Och, żabie udko
zjadłbym i jakąś rybę,
lecz tylko na surowo.

Łapię więc teraz robaki,
pająki i owady...
I myślę: Sposobna chwila,
by na obiadek taki
zaprosić krokodyla,
także z gromady:
Gady!

Krokodyl siadł,
kłapnął szczęką
i chociaż z niego gad
przy stole z rozpacy uklęknął.
– Daj mi ptaka lub rybę,
bo kucharz zaptaci głową! –
I nad chudziutkim pajęczkiem
łzę puścił
krokodylową.

Jak jest i dlaczego?

Jest jak jest.
Ale jak?
Mówi pies:
Wszystko jest pod psem
dla psa.
Mówi zebra:
Cały świat jest w paski.
Flądra:
Świat jest mokry i płaski.
Wielbłąd
twierdzi, że garbaty.
Lew –
że w kraty.
Lis
widzi tylko kury.
Żyrafa –
patrzy na świat z góry.
Kret –
przez czarne okulary.
Słoń –
jak stary.
A wiesz,
co mówią dzieci?
Że nawet gdy pada deszcz,
słońce
słonecznie wciąż świeci.

Co powiedziały dzieci autorowi tej książeczki

Dla dzięcioła
trzeba zaraz poszukać
kilka próchniejących drzew.
I teraz ptaka przywołać.
Niech je dobrze opuka.
Słyszycie?
To nie pukanie,
to śpiew.

Kukułce najlepiej dać las.
Tak myśli każde z nas.
Dla bociana znajdziemy koło
nad wiejską strzechą.
Niech kuka wraz z kukułką leśne echo
i na dachu niech bocian
klekoce nam wesoło.

Bo motyl jest najwspanialszym motylem
właśnie na łące pachnącej,
myszka jest najprawdziwszą myszką,
gdy widzisz ją tylko przez chwilę,
nim zniknie w swojej norce,
a słowik staje się królem słowików,
kiedy przez całą noc śpiewa
ukryty w koronie drzewa,
tak pięknie, że słów brak w słowniku.

Sprowadźmy więc dla wielbłąda
afrykańskie słońce.
Wtedy dopiero będzie wyglądał
na stuprocentowego wielbłąda,
co przemierza pustynię
bez końca.

Krokodylom należy przysłać Nil,
choć na kilka chwil.

Krokodylu, krokodylu,
powiedz,
jak ci było w Nilu?
Łezkę roni krokodyl.
Mówi: – Nil wyszedł z mody.
Teraz brodzik ciągle mnie kusi.
Nilu nie ma, choć gdzieś być musi.

Stąd nasze pytania, panie autorze,
może pan z nich wierszyk ułoży?
A jeszcze lepiej,
gdyby do zarządu zwierząt zadzwonić!
Kiedy wreszcie nadejdą Indie
dla potrzeb
indyjskich słoni?

Kiedy dżunglę sprowadzą
dla małp

i dla tygrysa?
I czy niedźwiedziom Karpat
nie można oddać
już
dzisiaj?

Miasteczko z plasteliny 1987

Na stacji kolejowej

Stoi na stacji lokomotywa –
krótka, malutka
i bardzo krzywa.
Wczoraj ugniotłem ją z plasteliny.
Ruszy,
jak tylko dorobię szyny.

Przy niej kolejarz.
Z kulki ma głowę.
Rękę do góry uniósł. Gotowe!
Jeśli dokleję dym nad kominem,
pociąg z hałasem
stację wyminie.

Zaraz się ręka wzniesie
nad torem,
bo ręka będzie tu semaforem.
Ma cztery palce –
żadna to strata:
każdy wskazuje inną stronę świata!

Koniec.
Wysiadły dwie panie
z wagonu.
Pędzą od razu do telefonu.

I wszystko kończy się dużą sprzeczką.
Jechały, prawda?
Dzień cały, prawda?
Więc czemu to samo wciąż widzą miasteczko?

W pociągu

Jak długo się jedzie,
gdy jedziesz na skrót.
Tu z przodu jest przód
i z tyłu jest przód.

Z przodu jest stacja
Jutro,
z tyłu jest stacja
Wczoraj.
Możesz więc jeździć
od Jutra do Wczoraj
po Iśniących z obu stron
torach.

W drogę już ruszył,
kto ruszyć mógł.
Tyle tu dróg
dla kół i dla nog.

Jedni chcą do Krakowa,
inni chcą do Warszawy,
a ja mogę jeździć
w przyszłość i w przeszłość
bez najmniejszej obawy.

Dotrzesz do celu
i wprost i wspak –
przed nami szlak,
przed nami ptak.

Las szybko schodzi z drogi,
niebo się kładzie na torach...
Najbardziej chciałbym
dziś
stację Jutro
umieścić na stacji Wczoraj.

Ludzie na drodze

Patrzę i patrzę
i oczom nie wierzę.
Ktoś właśnie szosą jedzie
na plastelinowym rowerze.

Rama z plasteliny.
Szprychy z plasteliny.
A człowiek, co kręci pedały –
też z plasteliny jest.
Cały.

Nawet nos,
daję słowo,
wyciera ten ktoś
raz po raz
chusteczką plastelinową.

Pod lasem idą dziewczyny,
dziewczyny z plasteliny.
Och, jakie giętkie i miłe,
choć ja ich nie ulepiłem!

W polu chłop ziemię orze,
tym orze, czym orać nie może.
Złamany pług,
koń bez nóg,
na roli ani ziola,
pusto i cicho dokoła.

Jutro będzie tu lepiej,
kiedy traktor ulepię.

Pytania, na które nie odpowiem

Co nagle z nami
się stało,
że nie jest nam zielono,
ani biało,
lecz szaro i wciąż jednakowo:
jak w plastelinie –
plastelinowo?

Nogi przyklejają się do drogi,
ręce opadają najprędzej,
grzbiet od razu się zgina
i mięknie jak plastelina.

Dlaczego brak nam
siły
i czemu, gdy ktoś stwardnieje,
zaraz tak łatwo się kruszy?
Po co nas cudze dłonie
ulepiły,
skoro nie włożyły nam
duszy?

Głowa pęka i trzeba ją lepić od nowa,
ramię słabe napraw albo je zamień,
lecz serce wyjmij powoli,
bo ono tu bije prawdziwie
i boli.

Kto biegnie za nami

Najpierw biegła za nami krowa,
taka krowa, jaką umiałem narysować:
wielka, kwadratowa,
jedna połowa inna,
inna druga połowa,
aż trudno było powiedzieć,
gdzie ogon,
a gdzie głowa.

Ryknęła zdrowo
krowa:
– Ja jestem pół królowa,
nie pozwolę, abyś mnie kołami
skołował
i jeździł tędy po towar.
Za to jestem polec gotowa!

Wtedy parsknął doń
koń,
który też biegł przez pole:
– Jeśli naprawdę chcesz polec,

możesz wraz ze mną polecieć!
Tak rzekł koń
szybszy od krowy, jak wiecie,
po czym ruszył za nami cwałem
na cienkich nóżkach z zapatek.

Sypnęły się skry,
ziemia drży,
dudni pod kopytami step,
koń idzie z nami
feb w feb,
pędzi aż miło
przez milę
i nagle – pozostał w tyle.

Teraz pojawił się ptak.
Płynął po niebie
na wznak,
machał skrzydełkami na potęgę
i pisnął:
– Jeśli to są wyścigi,
ja pierwszy przerwę
wstęgę.
Jasne, że pisnął na migi,
lecz
wszyscy pojęli w czym rzecz:
maszynista węgla dołożył,
choć pociąg pędził nienajgorzej,
konstruktor wyciął z kartonu
kilkę nowych wagonów,
parowóz za piec powędrował –
i ptak musiał ulec bez słowa.
– Wspaniale! – krzyczą wokoło.
Ktoś mówi do mnie wesoło:
– Bądź z tego dumny, kolego.
A mnie jest smutno.
Dlaczego?

Bo ja, widzicie, chciałbym,
aby mnie ptak dogonił
i chciałbym mieć czasem w uszach
tętent galopujących koni
i nawet tego, wybaczcie, nie mogę sobie darować,
że tak daleko w polu została poczciwa krowa.

Zaproszenie do podróży

Kotek po drodze mnie spotkał.
Weźmy kotka do środka.
Jest głodny,
głośno miauczy.
Miejsca dla niego wystarczy.

W przejściu zatrzymał mnie pies.
Pies może także tu wejść.
Nie będę na niego narzekał,
nawet gdy sobie poszczeka...
I pies już z nami jest.

Wtem jęknął cicho kanarek:
– Weź też kanarków parę.
Od razu będzie weselej,
a miejsca zajmiemy niewiele.

Do drzwi zastukał chomik:
– Ach, witam,
sami znajomi!

Ze ściany sfrunęła papuga,
papuga jedna i druga,
okiem ogromnym mruga,
jak pani, a ja niczym sługa
o miejsce wolne się staram
i szepcę:
– Och, cara mia, och ara!

Więc jeszcze
zabrały
się świerszcze.
Zająły kącik mały.

Potem żółw wkroczył z jeżem,
mysz wbiegła,
niech norkę sobie wybierze.

Wpełzła jaszczurka,
wskoczyła wiewiórka,
słowik
się zadowił,
wleciał kruk,
za nim wsunął się królik
i – nie wiem, czy uwierzycie,
ale wszyscy razem się czuli
znakomicie.

Wtedy wszedł konduktor.
W drzwiach utknął.
Jąkał się jak najęty
widząc, że przedział nabity,
a nie po prostu zajęty.
– Aaaależ paaanie, paaanie ko-lego.
Tooo już nie po-ciąg, tooo Aarka Noooego.

Móóówię pa-nu, za duuży ttttu ścisk.
Jeeeśli ma-ją paaana goścććcie jechać,
paaan przeeedział o-puś-ci!

Więc wyszedłem z przedziału
przepełniony żalem,
a mój przedział pomału
pojechał dalej.

Zapisane w książce życzeń

Chciałbym mieć całe sterty
najlepiej z plasteliny,
by móc w nieskończoność przedłużać
ginące w dali szyny.

Och, wtedy mógłbym dojechać
o wiele dalej niż tata.
Może na sam koniec świata
bądź poza krańce świata.

Chciałbym mieć taki pędzelek
i takie farbki na stole,
by koło narysować
i słońce zatrzymać w tym kole.

Mógłbym roztopić Alaskę,
co zimą pod okna podchodzi
i słońcem kręcić na wspak,
by starzy znów byli młodzi.

Chciałbym mieć setki chętek
i wiedzieć, że wszystkie spełnię,
by stać się tak starsznie szczęśliwym,
że aż nieszczęśliwym zupełnie.

Niczego już nie mógłbym pragnąć,
o niczym marzyć wcale
i moja książka życzeń
stałaby się książką zażaleń.

Dziecko i świat

Rozmawia dziecko
z domem.

– Ja mam pięć lat!
– A ja mam trzy piętra!

Rozmawia dziecko
z ziemią.

– Dlaczego przyczepiłeś się
do mnie?
Mam cię już dość.
Możesz sobie odejść!

Ziemia milczy do czasu
bita piętą
po głowie.

Rozmawia dziecko
z dzieckiem.

– A ty czego tu szukasz?
– Mam łopatkę i
wiaderko.

– Przynies wodę.
Zrobimy glinę.
Już wiem,
jak stworzyć świat.

Pierwszy spacer po mieście

Ulica.
Taka dziwna ulica.
Jakby spadła prosto z księżycy.

Na wieży chmura.
Chyba tu spała.
Nie wiadomo skąd się urwała.

Wiosna stoi
na półce w sklepie.
Wejść. Kupię.
I na drzewach rozlepię.

Nic, że mróz
sroży się na świecie.
U mnie będzie jeden miesiąc:
kwiecień.

Róże
będą miały tyle różu.
Łąka
zacznie kwitnąć na każdym
podwórzu.

Będzie bliżej
od listka do listka.
Głuchy pień
naraż słuch odzyska.

Stanę na rynku.
Naprawię domy.
Okna narysuję szerokie,
a w nich –
wąsaty promyk.

Aż ktoś w nerwy wpadnie,
szybę stłucze i krzyknie na alarm:
– Hej tam!
Ktoś ty!?
Jak tyś się tu znalazł!

Drugi spacer po mieście

Chodzę i patrzę wokół.
Tyle pracy na każdym kroku.

Tramwaj musi odjechać z przystanku.
Samochód z pieniędzmi
powinien dotrzeć do banku.

Szkołę trzeba otworzyć,
bo idą już do niej dzieci.
A może zbudować lotnisko?
Niech jakiś samolot przyleci.

Fabryka też nie działa.
A miała być gotowa.
Wiadomo, przecież sklepy
od dawna czekają na towar.

Nie mogę tak chodzić i patrzeć.
Tu musi być wszystko inaczej.

Podwinąłem rękawy.
Nie ma sprawy!

Od razu dudnią schody,
ruszają samochody,
pędzą ze zgrzytem tramwaje,
dom obok domu staje,
wznosi się most,
a przy moście –
fabryka wyrabia nowości:
nowy model koła,
nowy niebieski firmament,
ludzi nowych od stóp aż do czoła
i baśnie
wciąż nowe – te same.

Trzeci spacer po mieście

Jaki tłum.
Przy człowieku człowiek.
Kilku przechodniów
w tłoku
naprawdę straciło głowę.

Cyganki na skwerze
z ręki namiętnie wróżą.
Staruszek swoją dłoń podaje.
Ma o dziesięć palców za dużo.

Nie śmiejcie się z małej Uli.
Stoi na rynku
w nocnej koszuli.
Śniła, że cały świat
to jedno wielkie mieszkanie.
Zaraz wyjaśnię jej błąd
i stać przestanie.

A na ogromnym placu
pod płytą małą leży
zabity na wojnie
żołnierz.

Skleciłbym go zaraz,
niechby znów stał w pogotowiu,
lecz nóżki zginęły za piecem,
a w szparze
główka z otowiu.

Klęknąłem cicho przy grobie
i napisałem na płycie:
"Mam jedną prośbę przed śmiercią –
o długie życie".

Czwarty spacer po mieście

Tędy szedł księżę.
Biegnę za nim.
Na darmo.
Nie zdążę.
Szedł tędy przed wiekami.

Tu orszak wjeżdżał
paradny
i król
piechotą chodził.
Śladów nie ma już zadnych,
jednak popatrzeć
nie zaszkodzi.

Na zamku uczta.
Na ucztach czas schodził
najmilej.
Przyznają to nawet duchy.
Ja tam nie byłem,
miodu i wina nie piłem,
lecz zjadam do dzisiaj okruchy.

Piąty spacer po mieście

Wieczór.
Powoli światła gasną.
Za to katedra wychodzi z mroku.
Świeci jasno.

Dzwony
modlitwę dzwonią.
Świętych gromadzi się świta.
Po starych murach wodzę dłońią,
jakbym je chciał odczytać.

Na ołtarzu
palą się kwiaty,
płomień z nich płatki strąca.
Gwiazda spada
przez środek sklepienia
i wisi tam
bez końca.

Stąd jest bliżej
do nieba
malowanego w anioły.
Ulice na placu
tworzą wielkie krzyże
i klękają przy nich kościoły.

I tylko w pieśni,
co wciąż szuję rozchodzi
w śnieżnej zadymce i pyłe,
znów mały synek się rodzi,
by wyjść na miasto
za chwilę.

Dziwne spotkanie

Spotkał To
Tego –
nie wiadomo co
i nie wiadomo dlaczego.
Po prostu szło,
jak to To,
a gdy rzekło: Kolego!
– spotkało Tego.

Ten
miał właśnie sen:
śpi, śni,
nie wiadomo co
i naraz
spotyka go To.

To, czego się bał,
przed czym drżał,
co drwiło
z niego,
z Tego –
nawet gdy tylko się śniło.

Patrzy ten
na To,
na zły sen,
na groźne zło.

A To
tymczasem –
małe,
nieśmiałe...

Kolego! –
szepce To do Tego.
Patrz!
Nie taki diabeł straszny!

Ten patrzy na To,
co szło do niego i szło
i odtąd już jest odważny,

jakby To,
co go wreszcie
spotkało,
nie straszło
wcale,
ale –
rozśmieszało!

Ucieczka za miasto

Na planie mojego miasta,
które wciąż rośnie
wzdłuż,
wszerz,
w dół
i w górę –
moja ulica,
gdzie zamieszkać,
jest jeszcze pustym polem.

Ptaki wiją tu swoje gniazda,
zając przykucnął
w miejscu, na którym stanie
szkoła.

Lubię tutaj przychodzić,
patrzeć na trawę,
jak na przyszły asfalt,
na lampy,
które są na razie kwiatami,
a dzięki krzewy
stają się podobne
do firanek w oknach,
dokąd lecą stadem
przepiękne gołębie
w białych welonach.

Nie ma jeszcze murów,
niebo jest dachem,
jedną ścianę tworzy las,
drugą ścianę – rzeka,
słońce zastępuje piec kaflowy
nagrzany po czubki drzew
pachnącym kwieciem.

Tu będę mieszkał
w pobliżu niewidocznej gwiazdy,
gdzie zawisł właśnie
skowronek
na drżących, przejrzystych
skrzydełkach.

Podróż we śnie

Opowiedz, gdzie byłeś?
Bardzo daleko.
Śniłem.

Rozłożyłem ręce na wznak
i płynąłem w górze jak ptak.

Lecę, lecę. Mija mnie zima, potem wiosna.
Nagle staje przede mną sosna.

– Co tutaj robisz?
– Latam.
– Jak to latasz?
Przecież ja jestem samym końcem świata.

Koniec, myślę, więc niech już będzie koniec.
Siadam cały zielony na zielonej koronie.

Wtedy wiatr ostry,
jesienny
dmuchnął mi w twarz.
– A kolor żółty znasz?

Spadłem na dół. Jak liść.
I własnym oczom nie wierzę.
Do łóżka miałem iść,
tymczasem – na chmurze leżę.

Wkoło błyszczą bliskie gwiazdy domów,
księżyc w okna patrzy po kryjomu,
a pochmurne niebo jak pokrowiec
ściągnął z ramion
nasz piękny wieżowiec.

Razem z nim
wciąż płynę na wietrze.
Dniem i nocą.
Na ostatnim piętrze.

Bardzo łatwe zgadywanki

Zadam wam pytanie.
Odpowiedzcie na nie.

Jaka to rzeka,
która bije niczym wodotrysk
do najwyższego piętra?
Hydraulik brzegi naprawia,
nie ma w niej ryb
ani kamieni,
a jeden ruch wystarczy,
by przesiać ją przez palce
lub zatrzymać
przy ustach

rozpędzony strumień...

Zadam wam pytanie.
Odpowiedzcie na nie.

Jakie to słońce,
a raczej wiele maleńkich słońc,
wmurowano w twój dom
tysiącem drucianych promieni
i uwito z nich gniazdka
pełne drzemiących iskier?
Nciśniesz i blask wybucha,
naciśniesz
i gaśnie ognisko.

Zadam wam pytanie.
Odpowiedzcie na nie.

Kto przemawia w moim pokoju,
choć nikogo w nim nie ma?
Kto sprowadził do mnie
całą orkiestrę,
która gra
jak najęta?
Ktoś krzyczy, gdy mu pozwolę,
śpiewa, gdy go przywołam,
lub ledwo szepce,
jak gdyby
przemawiał z końca świata.

Zadam wam pytanie.
Odpowiedzcie na nie.

Co to za okno cudowne
w ścianie drewnianej skrzyni?
Przesuwają się w nim kraje
dalekie, miasta nieznane,
ludzie, szukający wzrokiem
mojego spojrzenia,
a ja płynę do nich
niczym na latającym dywanie
i jestem tam, gdzie oni,
choć nie ruszam się z miejsca.

Zadam wam pytanie.
Odpowiedzcie na nie.

Czy są to rzeczy z baśni?
Są blisko, czy daleko?
Pomyślcie, bo ja właśnie
mam je zawsze pod ręką.

Ujeżdżanie windy

W górę i w dół,
bez skrzydeł
i bez kół.
Pod dach
i do piwnicy,
do chmury
prosto z ulicy!

Nawet taki,
co ledwo do trzech zliczy,
ujeżdża teraz windę
i jak konia ćwiczy.

Z piętra na piętro,
jak z procy –
pod gwiazdy,
bez biletu,
bez kierowcy
i bez rozkładu jazdy.

Wdusisz guzik
i już strop. Stop.
Wdusisz i już ziemia.
Dalszej drogi nie ma.

A ja chciałbym
mieć dom,
mały, śliczny,
taki sam jak winda –
o napędzie elektrycznym.

Żeby można za skinieniem ręki
ziemię przebić i przebić błękit.
Żeby można wzbić się jak z wyrzutni!
Myślisz: winda... A to winda-sputnik!

W takim domu
kiedyś zamieszkać!
Świat przemierzać
i wszechświat
ujeżdżać!

* * *

O tym marzył
mały człowieczek z ołowiu
i nawet nie bardzo się rumienił,
że jedzie tylko windą
i wygląda z czyjejś kieszeni.

Mały biały domek

Mały domek, w nim drzwiczki małe,
maleńki kluczyk od kłódki...
I wszystko od razu
jest zrozumiałe:
gospodarz tu mieszka malutki.

A żonę ma jeszcze mniejszą,
doprawdy tyciutką,
malutką,
można ją wręcz w jakiś wierszu
na listku wysłać
jak łódką.

A dopiero ich dzieci
są rzeczywiście małe.
Musiałem wziąć szkiełko
i poświecić,
zanim je wreszcie dojrzałem.

Wciąż śpią,
choć we śnie się nudzą –
nie wiadomo dlaczego,
a kiedy się wreszcie budzą
to jak ze snu zimowego.

Mama pieluszki im splata
z nitek babiego lata.
Tata ma dużo zajęć,
więc bajki w słodyczach podaje.

Połykasz bajkę
i basta:
rośniesz
i z bajek wyrastasz.

Patrz! – mówi tata maleńki
do jeszcze mniejszej mamy –
znowu za małe spodenki
i z łóżkiem jest to samo.

Jakie już duże się stały!
Pewnie minie czas krótki,
pokoik im będzie za mały
i domek nasz malutki!

Pójdą najstarszą ulicą,
wąziutkie porzucą dróżki,
uniosą w dal swych rodziców
w kieszonce pod serduszkciem.

Wypadki chodzą po mieście

Co się stało?

Dmuchałem

i przesunęło staromiejską wieżę,
do rąk mi magistrat przywiało,
a wieżowiec-mrówkowiec runął
i wszystkie piętra ma odtąd
na parterze.

Oparłem się nieostroźnie
i pogniotłem domy narożne.

Ścierką

wytarłem jezioro.

Czemu nie zjawi się teraz
szeryf lub jakiś
Zorro!?

W mieszkaniach znów nikt
nie mieszka.

Na wieżowcu wisi wywieszka:

"Przerwa. Mieszkańców się nie przyjmuje!"

Horyzont czeka na naprawę.

I nikt go nie reperuje.

Tylko milicjant macha rękami,
choć nie ma kim kierować,
a staruszek
nie bardzo stary
poprawia na nosie okulary
i sprawdza, gdzie ręka,
gdzie głowa.

Co się stało? –

pytacie.

Podaję rozwiązanie zagadki:

Tak bywa, gdy zamiast ludzi,
chodzą po mieście – wypadki.

Wiersz przed zamknięciem książeczki

Już plasteliny mam bardzo niewiele.

Nie uda się z tego bajka

z paradnym na końcu weselom.

Jest nawet panna młoda,
na twarzy krew i woda,
jednak przystojny kawaler
bez głowy stoi na stole,
jakby nie było go wcale.
Może na wojnie poległ.

Jest nawet zamek na górze,
każdemu opisem służę,
lecz nie ma do zamku drogi
i trudno, by orszak się wspinał
na szczyt po hakach i linach,

nim dotrze w zamkowe progi.

Jest nawet ucztą gotowa.

Zupę przyrządził kowal,

bo kucharz wbił w serce pałasz

na wieść, że panna młoda

starą panną została.

I tak się skończyła przygoda.

Tu więc urywam nie z mojej winy,

lecz jeśli trochę zbędnej plasteliny

macie akurat pod ręką,

dokończcie historię tę prędko:

Trzeba wziąć kawalera,

zrobić go, choćby od zera,

do zamku wykuć drogę...

Może kucharza ktoś zbije,

ja tego zrobić nie mogę,

zwłaszcza, że kucharz żyje...

Zamiast tak głupio umierać,

niech zupę przyprawi rad nie rad.

Przyjedzie gości wielu

w piątek, wyjedzie we wtorek...

Ja też będę na tym weselu,

ale zaproście mnie w porę!

Wierszyki dla Grzesia

1986

Zaklęcia

Klasnę w dłonie – kwiat rozkwitnie,

klasnę znowu – zwiędnie, zginie,

klasnę – będzie świt za świtem

i noc niczym chwilka minie.

Na żądanie przyjdzie jesień,

zwarzy trawy, liście, zioła

albo wiosnę ptak przyniesie,

jeśli ptaka tu przywołam.

Klasnę – koń przybiegnie rączy,

klasnę – stanie między nami

i na zawsze nas rozłączy,

tupiąc w niebie podkówkami.

Wiosna

Zima topi swe śniegi,
śnieżynki w kałużach legły.

Rzeka rusza, spod lodu
wschodzą zielone wody.

Ślizgawkę zarasta łąka,
kry się chwieją jak pokład,

a liście – maleńkie i twożne –
szukają swoich gałązek.

Spotkanie

Spotkałem wiosnę. Wieńcem
oplotła mi zaraz ręce.
We włosy wplotła mi zioła
i trawy, co rosną dokoła.

W oczy rzuciła stokrotki,
pod nogi – bystre strumienie,
czekając, aż w szumną wiosnę
i ja się w końcu przemienię.

Konik polny

Z byle słomki, z byle trawy
piękny dom sobie postawi.

Spadnie rosa – jest bogaty,
w listku dojrzy nowe światy.

Kiedy będę miał czas wolny,
zajdę do koników polnych.

Kaczki na stawie

Co zaszło na stawie, opowiem:
kaczki stały na głowie,
siedziały na brzegu dzień cały,
łapy w piasku odciskały,
gubiły pióra kacze,
aż wiatr zwiedzający dąbrowę
przystanął, by na nie popatrzeć.

I nagle wszystko stanęło,
wszystko się zapatrzyło,
tylko kaczek na stawie

od godziny nie było.

Życie bławatka

Bławatek
ma życie niełatwe.

Ile słońca musi się naszukać wiosną,
aby wyrosnąć.

Ile rosy musi wypić, ile nabrać deszczu,
aby zakwitnąć wreszcie.

A jak zakwitnie, jak płatki rozchyli –
już ktoś go zerwie po chwili.

Kwiaty małej Idy

Kwiaty wyglądają dzisiaj tak źle,
jakby miały gorączkę.
Może wrócili z balu i we śnie
tańczą jeszcze po łące?

Lilia odpoczywa na tapczanie,
pogniotła żółte sukienki,
narcyz głowę spuścił, szepcząc: Proszę pani,
czy mógłbym panią prosić o rękę?

Tylko fiołki nie czują zmęczenia
i fruwiąją na płatkach jak motyle.
Ten, kto znowu je w kwiaty przemieni,
będzie słońcem, chociażby przez chwilę.

Gil

Z gilem
żyję zażyłe:
gwiźdzemy razem,
chodzimy na spacer,
lubimy żółty kolor,
lasy zielone i pola.

A kiedy choć na chwilę
nie ma przy mnie gila,
otwieram skrzydła składane,
ćwierkam wesoło od rana
i jestem gil, nie człowiek –
cokolwiek kto o tym powie.

Dom z drzewa

Zbudowałem dom z drzewa,
nie mieszkam tam jeszcze,
lecz dom całe noce śpiewa,
bo już wprowadziły się świerszcze.

Lato malowane

Gdy zadymka w polu gna,
namaluję słońce, sad,
owocowe drzewa w kwiatkach,
łan zielony pełen światła,
a na tej największej kartce –
biało kwitnące akacje.

Będę lato miał i słońce,
póki farby się nie skończą.

Wakacyjne marzenie

Gdy zostanę drukarzem –
marzę –
zacznę czerwoną farbą
drukować kalendarze.

Bedzie wtedy wiele
niedziel,
za świętem pogoni święto
i co dzień huczne wesele
pojedzie przez miasto karetą.

Na plaży

Chlapu-plasku, już od brzasku
budujemy miasto z piasku.

Piękne miasto nad miastami,
w jakim nie mieszkamy sami.

Domy barwne, aż nad podziw.
Fruwa się w nich, czy też chodzi?

Można by tu żyć wspaniale,
gdyby deszcz nie padał wcale.

Lalka na spacerze

Wyszła lalka na spacer,
nad nią słońce
w błękitnym krawacie,
obok strumień
ze wstążką we włosach,
motyl wpięty
jak broszka w niebiosach.

Patrzy lalka, po kwiat się schyla,
aby przypiąć go do sukienki,
potem wstążkę goni jak motyla,
kiedy wiatr ją unosi w błękit.

Miasto na drzewie

Myszy w polu bobrują,
bobry w lesie myszkują,
echo – ech tam! – wciąż woła,
pędzą koła dokoła.

A ja sobie stoję w kole
i wybieram dwie topole:
jedną z gniazdem
pod gwiazdą,
drugą z miastem
wśród liści.
Mieszka tam wróbel,
wróblowa,
księżycy tysa głowa
i królik, ale – mysz.

Stary kotek

Mój kotek,
leniwy już i stary,
zamiast łowić myszy
chodzi na wagary.

Kurę przestraszy,
wróbla pogoni,
w kącie za piecem
łezkę uroni.

Potem szepcze mi
mój kotek stary:
– Proszę ciebie,
czyż
mogę złapać mysz,
jeśli muszę nosić okulary?

Mój pies

Chciałbym mieć psa,
wilka lub foksteriera,
Każdego dnia
chodziłbym z nim na spacer.

Uczyłbym go
służyć, leżeć przy nodze,
czuć co noc
i bawić się ze mną co dzień.

A on swój łeb
wznosiłby bez przerwy ku mnie,
by każdy gest
i każde słowo zrozumieć.

Łasiłby się,
tuliłby pysk do mej twarzy,
mój piękny pies,
o którym ciągle marzę.

Jesień

Słońce się kładzie
i cień się kładzie
na każdy owoc
w zielonym sadzie.

Na każdą śliwę
i każdą gruszę
sierpień czerwony
złota naprószył.

Chylą się drzewa
pełne owoców –
dopiero zimą
sobie odpoczną.

Pytania

Skąd się bierze cisza?
Kto drzewa kołysze?

Czemu słońko gaśnie
i kończą się baśnie?

I we śnie – dlaczego -
nic nie ma prawdziwego?

Przed snem

Biorę do ręki auto,
rakiety z kosmonautą,
pod głowę kładę misia,
buty kupione dzisiaj...

Lecz zawsze usnę najprędzej,
gdy rękę mamy mam w ręce.

W królestwie nocy

W nocy wierszem mówi kanarek,
myszka wchodzi do zamku przez szparę.

Z wojny wraca ołowiany żołnierz
do pudełka, gdzie pułk cały leży.

Lalka suknie bez przerwy przymierza,
w niebie z gwiazdą spotyka się wieża.

W szafie rzeczy mówią do rzeczy.
Tylko ten, kto nie usnął, zaprzeczy.

A król nocy z berłem pod głową
złote jabłko gryzie jak owoc.

Zagubiona rzeka

Nie może
znaleźć morza
rzuciona na bezdroża.

Poszła w prawo –
miasto
betonem ją przerasta.

Na lewo –
tama, skały
z przodu ją zatrzymały.

Więc płynie
po równinie
we wszystkie strony od razu,
bo nikt jej nie może
do morza
drogi właściwej pokazać.

Kto zliczy

Od ilu zależę ludzi,
kto się zliczyć potrudzi?

Od tych, co sieją, co orzą,
co w niebie, na lądzie, na morzu...

Od lekarzy, murarzy, budowniczych.
Któż to potrafi zliczyć?

Bez nich, bez wszystkich razem –
żyć bym się nie odważył.

Lalki

Lalki są żywe,
wesołe i nieszczęśliwe.
Lalki mają bardzo smutne miny,
kiedy sypią się z nich trociny.
Lalki kryją główki w poduszki,
opłakują wytłamane nóżki.
Zaniedbane, obdarte i chore
jęczą cicho całe wieczory.

Ale
są też wesołe lale.
Wypoczęte, syte i zdrowe,
wystrojone w sukienki kolorowe,
jeżdżą z dziećmi na spacer do parku,
a na gwiazdkę dostają
moc przeslicznych podarków.

Mróz

Mróz macza brodę w rosie,
pociąga czerwonym nosem,
tupie butami u progu,
zdmuchuje w piecu ogień.

Sopłem się podpira,
lodem w stawach trzeszczy,
na drzewach, rad nierad,
śnieżynki rozwiesza.

Mama w zimie

Od rana do późnej nocy
o ciepło się kłopotce.

Pali w piecu,
w ogień dmucha,
czapki szyje nam
z kożucha.

Ciepły kołnierz,
ciepły szalik,
byśmy zimna
nie zaznali.

A nocą, gdy śnimy o sankach,
ceruje dziury w ubranku.

Przygoda z mrozem

Stoi mróz pod oknem
od zeszłego roku,
palto na nim mokre,
kwiaty rosną wokół.

Zapomniał się stopić,
uciec na Alaskę,
stawia kroczki drobne
wsparty na swej lasce.

– Dziadku! – mówią dzieci –
przecież słońko świeci,
idzie noc majowa,
w lodówce się schowaj!

Piosenka o królach

Śpią królowie w skale,
nic ich nie poruszy,
berło woda drąży,
śnieg im w oczy prószy.

Nie tupią nogami,
nie chuchają w dłonie,
choć mróz jak się patrzy
pędzi we sto koni.

Tylko oczy wznoszą
spod kamiennych powiek
i wzrok w chmury mierzą
uśpieni królowie.

Wiersze dla mojej mamy

1996

Wierszyk dla mojej mamy

Wszystkie moje myśli
są przy tobie, mamo,
i zawsze zachowują się tak samo.

Zdejmują buciki,
gdy jesteś zmęczona właśnie.
Idą na paluszkach
do twojego łóżka
i czekają bez tchu, aż zaśniesz.

Kiedy cerujesz pończochy,
nawlekają nitki do igieł.
Kiedy czytasz,
światła rozjaśniają trochę,
byś mogła lepiej widzieć.

Kiedy idziesz po zakupy,
pomagają nosić ciężkie siatki.
Przed świętami
pragną ciastko za ciebie upiec –
i każdy dzień zmieniają
w jedyny, przepiękny Dzień Matki.

Kiedy czasami jest źle...

Kiedy czasami jest źle,
to gorzej
już być nie może,
bo przecież wiadomo, że
jest mama,
a mama pomoże.

Kiedy zimno jest w ręce,
gdy plama na sukience,
gdy dwójka w szkolnym zeszytcie,
gdy nie układa się życie,
gdy sto rozmaitych "gdy"
budzi rozpacz i łzy...

To nigdy nie jest tak źle
i gorzej
już być nie może,
bo przecież wiadomo, że
jest mama,
a mama pomoże.

Ale i tak czasem bywa,
że kończy się coś i przerywa,
ale jest całkiem inaczej,
gdy mamie jest źle i gdy płacze,
gdy nic się jej nie udaje,
gdy ma za dużo zajęć,
gdy sto rozmaitych "gdy"
budzi rozpacz i łzy.

Bo kto wtedy, gdy jest źle
i jeszcze może
być gorzej,
podbiegnie i krzyknie, że...
że przecież mamie pomoże?

Z mamą przed nocą

Mamo? – Jestem. Zawsze jestem blisko.
– Będziesz, gdy usnę? – Będę, kiedy wstaniesz.
– Ta noc jest taka czarna. – Rozpalę ognisko.
I na niebie się palą już zorze poranne.

– Mamo? Nie odchodź. – Będę wciąż przy
tobie.
– W twych słowach taki spokój i radości tyle.
Mamo? Daj rękę. Nie puszczaj mnie z objęć.
Dziś nie mogę cię stracić chociażby na chwilę.

– Światy są tak ogromne i łatwo w nich zginąć.
Drogi są tak dalekie i trudno z nich wrócić.
– Jesteś mamo? – Jestem. – Niechaj lata miną,
a my usniemy razem, by razem się obudzić.

Bardzo łatwe pytania

Kto pierwszy wychodzi z domu,
gdy wyjść jeszcze nie chce się nikomu?

Kto wciąż chodzi po mieście
z ciężkimi siatkami,
by nas ubrać i by nas nakarmić?

I kto leczy wszystkie nasze bóle,
jeśli tylko obejmie nas czule?

Ile trzeba nam

Jest moja mama,
jest mama mojej mamy,
jest mama mamy mojej mamy,
jest mama mamy mamy mojej mamy –
wszystkie te mamy były,
czy znamy je, czy nie znamy.

Przymykam oczy na chwilę:
tych matek było tyle,
a tylko jedna mnie czule
do swojej piersi przytula
i szepta tajemnie, nie głośno:
I ty będziesz kiedyś mamą,
tylko wpierv musisz dorosnąć.

A ja lalce mówię to samo.

Mama sprząta mieszkanie

Mama ma teraz dziesięć rąk
i wszystkie są nagle zajęte.
Odstawia szafy, wyciera kurz,
rozmawia z każdym sprzętem.

Wyciąga stare rzeczy, które trzeba odświeżyć,
pierze brudy, bo kąpiel już im się należy,
zmywa naczynia, tarmosząc garnki za uszy,
praśuje i suszarką głowy nam mokre suszy.

Mama ma teraz dziesięć rąk
i wszystkie są bardzo zmęczone.
Muszę im dodać trochę sił
i wziąć je w swoje dłonie.

Potem wyciągnę zabawki, które trzeba naprawić,
zrobię porządek w szufladzie, zanim zacznę się
bawić,
i wreszcie tego wierszyka wyuczę się na pamięć –
i powiem go na dobranoc mej uśmiechniętej mamie.

Odwiedziny pod psem

Mamo, zaprośmy do domu psa
lub bezdomnego kotka,
bo właśnie teraz, gdym do domu gnał,
taki kotek maleńki mnie spotkał.

Usiadł w kącie, śmiesznie uniół łeb
i chciał się ze mną pobawić.
Pewnie bez domu bardzo mu źle.
A może są inne sprawy?

Potem szedł za mną i nie rzekł nic,
bo przyszły też inne dzieci.
Wiem, że do domu chciał ze mną iść.
Na progu siadł i wciąż siedzi.

Mama odparła: – No to go proś!
Otworzyła drzwi. Lecz chyba za późno.
Nie było kota. Był już inny gość.
Łaciaty kundel z podwórza.

Rozmowy z mamą

– To ja, mamo, będę żołnierzem,
ja do wojska od dziś już należę,
lubię musztrę i marsz sercu miły,
nie przestraszą mnie wojenne trudy...

– Ale najpierw musisz nabrać siły,
ale najpierw zjesz kaszkę. I budyń.

– To ja, mamo, będę pilotem,
wzlecę nad chmury, tam i z powrotem
albo jeszcze wyżej polecę,
wyżej, niż potrafi latać człowiek...

– Ale najpierw odrobimy lekcje,
ale najpierw trzeba umyć głowę.

– To ja, mamo, będę podróżnikiem,
do włóczęgi przecież przywykłem,
ziemię zjadę dokoła,
moje będą trasy międzygwiazdne...

– Ale najpierw musisz iść do szkoły
i uważaj, gdy przechodzisz przez jezdnię!

Kiedy będę już duży...

Kiedy będę już duży
i miną długie lata,
wrócę do ciebie, mamo,
z najdalszej wrócę podróży,
z samego końca świata.

Och, jak to będzie zabawnie,
gdy mnie przytulisz jak dawniej
i rękę czułą mi podasz,
a ja ci słowo po słowie
bardzo dokładnie opowiem
o wszystkich swoich przygodach.

I mówiąc bardzo szczerze,
wcale a wcale nie uwierzę,
że losy mnie w dal poniosły,
że jestem już taki dorosły,
bo jeśli me życie znasz całe,
wiesz – i to bardzo dokładnie –
że dzieckiem być nie przestałem.

I noszę je w sercu, na dnie.

Gdy mama...

Gdy mama się śmieje,
świat na głowie staje.
Kot stare bajki baję,
Do domu wciąż przychodzi
Święte Mikołaje.

Ale jest gorzko
i jest całkiem inaczej,
gdy mama płacze.

Meble kryją się po kątach,
brudów nikt nagle nie sprząta,
głodny jest kot i głodny pies,
a ja do butelki zbieram
gorące kropelki łez.

A kiedy się mama wypłacze,
znów będzie całkiem inaczej.

Będziemy śmiać się,
śmiać się będziemy aż miło
z tego płaczu i ze smutku,
który przecież trwał tak krótko,
jakby go naprawdę nie było.

Mama jesienią

Pory roku niczego tu nie zmieniają.
Mama
jest wciąż taka sama –
zimną, wiosną, latem i jesienią.

W sukience, w kostiumie, w płaszczu czy w futrze
biega z siatkami po mieście
szczęśliwa, gdy wszystko załatwi nareszcie
i może już spokojnie pomyśleć o jutrze.

Idzie w pole, pracuje w sadzie,
lecz mimo to zawsze pamięta,
choćby nie wiem jak była zajęta,
o cukierkach dla nas –
lub choćby od święta
o wspaniałych lodach w czekoladzie.

Mama w zimie

Od rana do późnej nocy
o ciepło się kłopotcze.

Pali w piecu,
w ogień dmucha,
czapki szyje nam
z kozucha.

Ciepły kołnierz,
ciepły szalik,
byśmy zimna
nie zaznali.

A nocą, gdy śnimy o sankach,
ceruje dziury w ubranku.

Moja mama, której już dawno nie ma

Moja mama, której już dawno nie ma,
co wieczór przychodzi do mnie –
wiatr ją porwał i nagle oniemiał,
i do drzwi się dobija nieprzytomnie.

Mama bierze moją dłoń w swoje dłonie,
długo czeka, aż usnę przy niej,
potem sny rozwiesza na balkonie
albo gra je na starym pianinie.

Jest jak ciepłe letnie powietrze,
jak mgła czuwa w jesiennym sadzie,
a gdy zima idzie, w grubym swetrze
przy kominku smolne szczapy kładzie.

Lubię przy niej spać i lubię drzemać,
bo jak cisza jest i jest jak płomień –
moja matka, której już dawno nie ma,
choć co wieczór wciąż przychodzi do mnie.

Dziecko się rodzi

Wieczór.
Powoli światła gasną.
Za to katedra wychodzi z mroku.
Świeci jasno.

Dzwony modlitwę dzwonią.
Świętych gromadzi się świta.
Po starych murach wodzę dłońią,
jakkbym je chciał odczytać.

Na ołtarzu palą się kwiaty,
płomień z nich płatki strąca.
Gwiazda spada przez środek sklepienia
i wisi tam bez końca.

Stąd jest bliżej do nieba
malowanego w anioły.
Ulice na placu tworzą wielkie krzyże
i klękają przy nich kościoły.

I tylko w pieśni, co wciąż się rozchodzi
w śnieżnej zadymce i pyle,
znów mały synek się rodzi,
by wyjść na miasto
za chwilę.

Piosenki mojej mamy

Mama zna wiele pieśni
i wiele piosenek zna –
o ptakach i o czereśni,
o szczęściu i o łzach.

Śpiewa je zawsze tak pięknie
jak rzeka albo ptak,
że las chyba przed nią uklęknie,
gdyby mu dała znak.

I wszystko żyje w jej głosie,
drzewo, niebo i głąz.
I jasno jest, gdy ogłosi,
że dzień już nadszedł i blask.

Lubię, gdy mama śpiewa,
oczy zamykam i śnię,
że wielka orkiestra rozbrzmiewa
całe noce i dni.

A ponad wszystkim tak samo,
aż milknie wszelakie zło,
słychać głos mojej mamy,
mamy najśłodszy głos.

Piosenka mojej mamy o szczęściu

Moje szczęście ma dwie bose nóżki,
małe ciało i takie nagie –
dowiedziałam się o tym od Wróżki
i to stało się tak dziwnie, tak nagle.

Moje szczęście jeszcze samo nie chodzi,
tylko krzyczy czasem wniebogłosy –
wszystko tak jest, jak mówił Czarodziej,
jak mi wróble przedwczoraj doniosły.

Moje szczęście to nadzieja i łaska,
aż się dziwią wszyscy sąsiedzi –
tak mi mówi Anioł z obrazka,
zanim sobie do nieba odleci.

Moje szczęście to szczęście w szczęściu,
opłacone trudem i znojem –
tak powtarza mi mędrców dziesięciu
i tak szepce mi serce moje.

Piosenka mojej mamy o słońku

Przychodź, słońko,
nie tylko wiosną,
bo mój synek musi urosnąć.

Musisz co dnia
na niebo wyruszyć,
kwiatki podlać,
pieluszki wysuszyć.

Stań nad domem,
obejdź go dokoła,
synka obudź,
żeby szedł do szkoły.

Nie szcędź światła –
taka moja wola,
żeby syn mój
zdążył wrócić z pola.

I mam prośbę –
zechciej mi dopomóc,
aby nigdy,
nigdy i przynigdy
syn mój drogi
nie zapomniał o domu.

Piosenka o żołnierzyku z ołowiu

Żołnierzyk do przodu wciąż kroczy –
nie ma domu, jest zawsze w drodze,
z ołowiu ma serce, z ołowiu ma oczy,
za pasem broń, na ramieniu, przy nodze.

Synku, gdy już będziesz duży,
żyj spokojnie, w szczęściu i w zdrowiu,
niech ci los długie życie wywróży...
Nie bądź nigdy żołnierzykiem z ołowiu.

Żołnierzyk ginie nie raz, wiele razy,
wstaje, by odżyć w wojennej kurzawie,
kreśli krwią ołowianą okrutne obrazy,
na których prócz ołowiu życia nie ma prawie.

Synku, gdy już będziesz dorosły,
żyj spokojnie w szczęściu i w zdrowiu,
ucz swe dzieci, by ci przyszłość przyniosły
bez wojennych piosenek z ołowiu.

A gdy wyjmiesz przypadkiem z szuflady
kalekiego, beznogiego bohatera,
posłuchaj matczynej rady:

zamknij szafę i długo nie otwieraj.

Dom pod drzewem

Mój dom
przyrośnięty do drzewa
jak drzewo rośnie
i śpiewa.

Ma pień,
konary,
korzenie –
i liście oczywiście
czekają,
aż je wymienię.

Z pnia
są gałązki co dnia.

W korzeniach
jest tyle ziemi i cienia.

A pośród szumiącej korony
mieszkają tata, mama
i cztery świata strony.

Gdy zechcę,
to stąd odlecę,
choć odlecieć nie chcę.
Gdy zechcę,
jak liść opadnę...
Choć słusznie mówi mama:
po co zaraz opadać,
gdy można kwitnąć tak ładnie.
Od kwietnia
do listopada.

Więc niebo przyklejam
do komina.
Znów ziemia
od podłogi się zaczyna.
A w gałązkach
na wierzchołku wysokim
gnieźdzą się ptaki
i obłoki.

To dom mój
przyrośnięty do drzewa –
jak drzewo rośnie
i śpiewa.

Niedzielny spacer

Niedziela jest po to,
by iść na spacer
na księżyc.
Do księżycyca jest bardzo blisko
z najwyższej w mieście
wieży.

Ale żeby nie było
na księżycu nudno,
trzeba wymyślić tam miasta
i jakąś ludność.

Może trochę trawy
dla zabawy.

Może rzekę
i morze,
aby wykąpać się
nie najgorzej.

Psa,
za którym rusza się w pościg,
też trzeba by tam zabrać
dla pewności.

A mama?
Niech zostanie na ziemi.

Macie rację.

Aby było dokąd wrócić –
na kolację.

Moja Matka Śnieżna

Co się stało,
że tak biało?

Pole całe
leży białe.

Każdy kolor w bieli znika.
Śnieg ze śniegiem się spotyka.

Kelner śnieg na obiad poda.
Szepnie cicho: Taka moda!

Kuśnierz śnieżki w dłoniach gniecie.
Będą futra miały dzieci.

Szofer popchnął bryłę lodu,
która dymi już od spodu.

A mama, Mama Śnieżna,
jakby jej mało było bieli,
do snu białą pościel
ścieli.
Wytrzepuje śnieżek z pierzyn,
śnieży wkoło jak należy.

Jak baśniowa Zima-Wróżka
zaraz kładzie nas do łóżka.

Co się stało,
że tak biało?
Pole całe
leży białe.

Białe drogi,
domy w bieli,
ktoś im do snu
śnieg pościelił.

Usnę. I ta biel mnie zbudzi.
Ujrzę samych śnieżnych ludzi.
I pobiegnę do kolegi
hen, przez niegdysiejsze śniegi.

Bajeczna opowieść o domu rodzinnym

Mały domek, w nim drzwiczki małe,
maleńki kluczyk od kłódki...
I wszystko od razu jest zrozumiałe:
gospodarz tu mieszka malutki.

A żonę ma jeszcze mniejszą,
doprawdy tyciutką, malutką,
można ją wręcz w jakimś wierszu
na listku wysłać
jak łódką.

Ale dopiero ich dzieci
są rzeczywiście małe.
Musiałem wziąć szkiełko
i poświęcić,
zanim je wreszcie dojrzałem.

Wciąż śpią, choć we śnie się nudzą –
nie wiadomo dlaczego,
a kiedy wreszcie się budzą,
to jak ze snu zimowego.

Mama pieluszki im splata
z nitek babiego lata.
Tata ma dużo zajęć,
więc bajki w słodczych podaje.

Połykasz bajkę
i basta:
rośniesz
i z bajek wyrastasz.
– Patrz! – mówi tata maleńki
do jeszcze mniejszej mamy -
znowu za małe spodenki
i z łóżkiem jest to samo.

Jakie już duże się stały!
Pewnie minie czas krótki,
pokoik im będzie za mały
i domek nasz malutki!

Pójdą najdłuższą ulicą,
wąziutkie porzucą dróżki,
uniosą w dal swych rodziców
w kieszonce pod serduszkciem.

Babcia na starej fotografii

Jest sama
w grubej ramie.

Błada, z książką w ręce,
której nie czyta więcej.

Nikt nie podchodzi do niej,
nie zapytuje o nic.

Czy jej czego
nie trzeba,
czy jej co nie dolega.

Więc wisi sama na ścianie
jak dawny klejnot lub zegar.

Podchodzę do babci blisko,
jak potrafię.
– Weź mnie na kolana
na starą fotografię!

Babcia odkłada książkę,
której nie czyta więcej,
i na darmo wyciąga
do mnie swoje ręce.

Wszystkie wiersze opublikowane zostały
w celach edukacyjnych!

Szkoła Podstawowa nr 7 im Erazma z Rotterdamu
Poznań, ul. Galileusza 14
www.sp7poz.pl
